TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 28 (1022)
10 LIPCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

REPORTAŻ

TADEUSZ GICGIER

TEN, KTÓRY SPRZEDAŁ RETKINIĘ

Reportaż nagrodzony w konkursie na opisanie Łodzi, zorganizowanym przez Wydział Kultury Urzędu Miasta i łódzki oddział Związku Literatów Polskich.

Z okien mego domu na Retkini, sąsiadującego z ogrodem botanicznym, widać kilka ocalałych dotąd wiejskich zabudowań przy ulicy Hufcowej. Murowany, poczerniały ze starości domek kryty papą, w kępie drzew chałupa ze spadzistym, słomianym dachem pokrytym mchem, za nią drewniana, nadgryziona zębem czasu stodoła. Stamtąd właśnie co rano wyjeżdża czarny jak smoła koń, ciągnąc chłopski wóz z siedzącym na nim woźnicą. Budzi mnie stukot kopyt końskich na betonowej nawierzchni, wóz paraduje przed mym wieżowcem, kierując się w stronę miasta.

„Przyjdzie koza do woza!" — mówi ludowe przysłowie. Poszedłem za tym wozem i tak trafiłem do wiejskiej zagrody. Nie była to długa wyprawa — z górą 200 metrów. Woźnica przyglądał mi się nieufnie, bo nie należałem do tych, co przychodzą tutaj po mleko. Wreszcie zapytał, czego szukam u niego?

— Chcę zrobić audycję o Retkini. Może mi pan wskaże jakichś ciekawych ludzi, dawnych mieszkańców wsi?

— O Retkini tej starej czy tej nowej?

— O jednej i drugiej.

— Stara już odeszła, a o nowej nie będą chcieli mówić. Chyba, że pan odnajdzie Gabriela Plocka. To ten, który sprzedał Retkinię.

JEST ROK 1976

Na miejscu starej, rolniczej Retkini powstało wielkie, nowoczesne osiedle, a tu w dalszym ciągu działa Kółko Rolnicze. Tam właśnie, na zebraniu tego Kółka w dawnym Domu Ludowym, w sąsiedztwie remizy strażackiej, miałem wreszcie spotkać pana Plocka. Zanim jednak przy-

Dalszy ciąg na str. 6

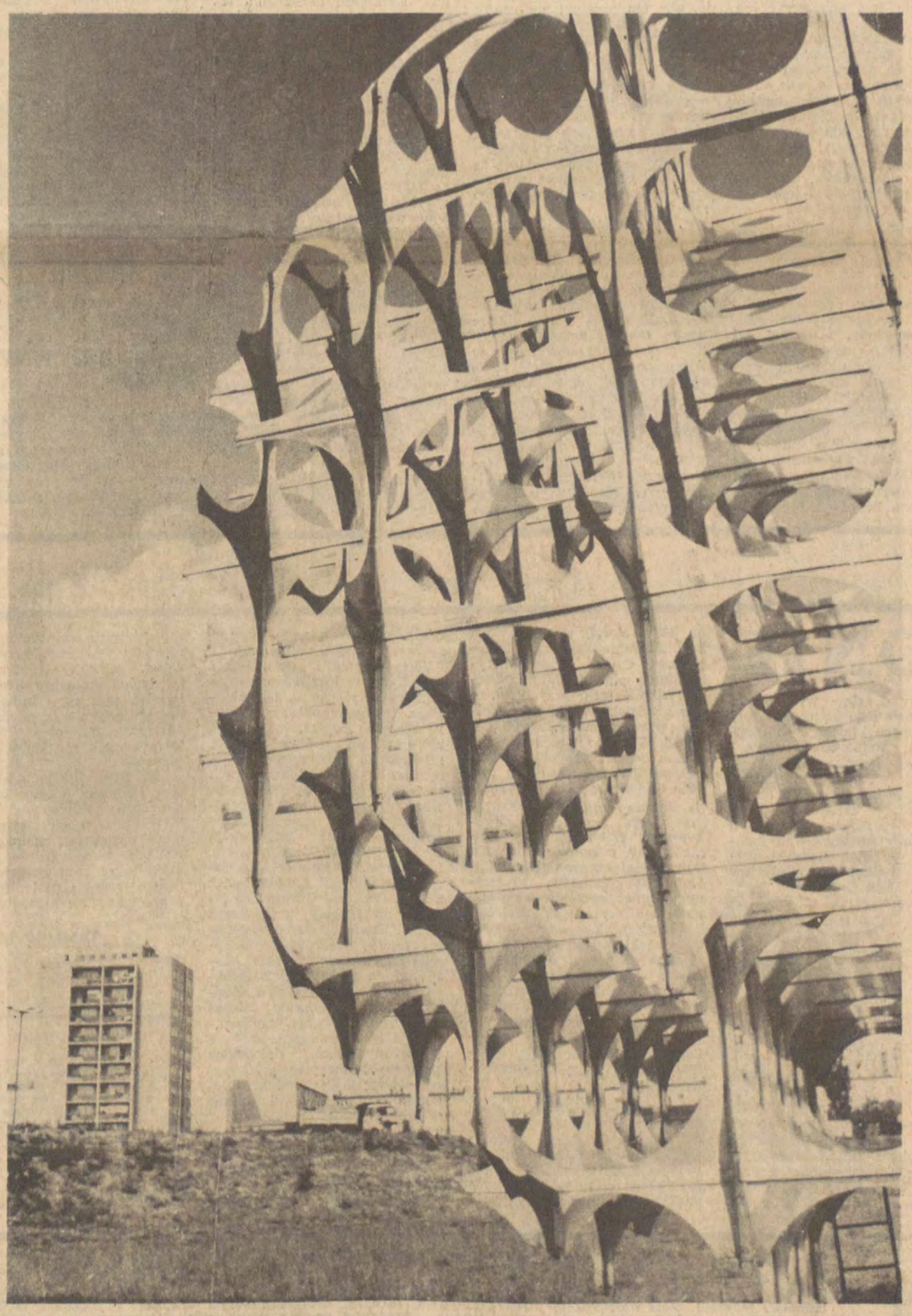

FILM

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA

TRZECIE PODEJŚCIE

Miejsce akcji: Sopot, Plaża Południowa, Łazienki. Czas akcji: pochmurny dzień czerwcowy, silny wiatr, wysoka fala. Bohaterowie: trzech dawnych przyjaciół, Adam, Leszek, Marek. Z oddali, zagłuszany przez wiatr i łoskot fal, niesie się słaby krzyk: „ludzie! ludzie!". Krzyk narasta, i wkrótce łódź dobija do brzegu, a stojący w niej mężczyzna wyskakuje na pomost i rzuca w chłopaków pękiem świeżo złowionych ryb:

Leszek: Wracam z oceanu, do mnie szczury, szczury lądowe! Do mnie!

Adam: Nie krzycz „Dzida", bo ryby wypłoszysz.

Leszek: Ryby?! Już wszystkie przez was wytrute, mordercy. Macie tu, na zagrychę (podnosi do ust wyciągniętą z kieszeni półlitrówkę). — Za nasze prawdziwe życie! (Adam wytrąca mu z rąk butelkę, Leszek zeskakuje z pomostu, błyskawicznie wyciąga nóż). — Co?! — Dzida cię przebiję, flaki wypruję! Chodź tu, no, chodź!

Adam: Nie błaznuj... przestań...

Leszek: Pomóżcie mi, chłopaki... (głos jego nie grozi już, lecz prosi).

Adam: (zbiega z pomostu, podchodzi do „Dzidy", klękają, patrzą w morze).

Leszek: Morze, morze... Razem?

Adam: Razem! (Z rozmachem, razem wbiegają do zimnego, wzburzonego morza. W ciuchach, jak stali, razem, na znak braterstwa i pomocy).

Jest to treść czterdziestej czwartej sceny realizowanego na Wybrzeżu w łódzkim Zespole „PROFIL" nowego filmu **Witolda Leszczyńskiego „Ślad magnetyczny".** Reżysera tego filmu nie trzeba przedstawiać, — jego pierwszy, zrealizowany jeszcze w rygorach szkolnych film **„Żywot Mateusza"**, był nie tylko ważnym incydentem naszego życia filmowego, nie tylko faworytem międzynarodowych festiwali, lecz do dziś jeszcze i krytycy i widzowie odwołują się do tego filmu, gdy chcą mówić o głębokim, wnikliwym psychologizmie, o ludzkiej egzystencji na poziomie prawd niepodważalnych, o znakomitej zgodzie i jedności filmowej treści i formy. **„Żywot Mateusza"** był lirycznym studium psychologicznym o szlachetnym „prostaczku", prawie russowskim człowieku naturalnym, żyjącym w zdrowej symbiozie z przyrodą, natomiast gubiącym się absolutnie w konwencjonalnych rygorach obyczajowych, obowiązujących w zbiorowiskach ludzkich. Trudności asymilacyjne człowieka nadwrażliwego, prostodusznego i autentycznego, poczytywane tam były za objawy niedorozwoju umysłowego i głuptactwa, a ocena bohatera, konfrontowana z obowiązującym stereotypem — równie mylna, co niesprawiedliwa. Film Wi-

Dalszy ciąg na str. 7

MIESZKANIA

ILE MOŻNA, CZY ILE TRZEBA?

Pytanie jest retoryczne. Chcemy budować tyle mieszkań ile trzeba, ale na razie budujmy tyle ile można. Czasami nawet wydaje się, gdy posłuchać krytycznych opinii, że budujemy mniej niż wynikałoby to z rzeczywistych możliwości. Jak to jest naprawdę? Nie roszcząc sobie pretensji do pełnej odpowiedzi, chciałbym podjąć kilka tematów z zakresu budownictwa mieszkaniowego, mając świeżo w pamięci obrady czerwcowego plenum Komitetu Łódzkiego partii.

W 26 numerze „Odgłosów" **Krzysztof Pogorzelec** w artykule pt. **„Mieszkania potrzebne jak powietrze"** przedstawił w pełni udokumentowaną sytuację mieszkaniową w kraju i w województwie łódzkim. Prasa codzienna w sprawozdaniach z plenum także obszernie zrelacjonowała osiągnięcia ostatniego pięciolecia i rozmiar nakreślonych zadań do roku 1985. Zresztą wszyscy jesteśmy świadkami i w odczuciu społecznym niezbity jest fakt, że w ostatnim okresie w budownictwie mieszkaniowym osiągnęliśmy wielkie sukcesy, a równocześnie faktem jest i to, że dla rozwiązania problemu mieszkaniowego, zgodnie z założeniami uchwał partyjnych o „mieszkaniu dla każdej rodziny" trzeba w najbliższych latach wybudować ok. **2 milionów mieszkań**, że przez te lata sprawy budownictwa mieszkaniowego będą problemem numer jeden całego naszego społeczeństwa.

Nie chcę powtarzać rzeczy znanych, ale nie sposób nie wspomnieć, że przemysł mieszkaniowy zaczęliśmy tworzyć dopiero po roku 1970. Po kilkunastoletniej „przerwie", kiedy było jasne, że tradycyjne metody wznoszenia domów nie mogą w żadnej rozsądnej proporcji zaspokoić stale rosnących potrzeb.

Spójrzmy jednak na **miejskie województwo łódzkie**, które wielu nazywa nie bez słuszności „budowlanym zagłębiem". Uchwała Biura Politycznego KC partii w sprawie modernizacji i rekonstrukcji miasta dała Łodzi ogromną szansę, która w pełni została wykorzystana, także w zakresie budownictwa mieszkaniowego. Porównajmy tylko dwie liczby. **Do roku 1970 wybudowano ok. 225 tys. izb mieszkalnych, a w latach 71—75 ponad 44 tys. mieszkań.** To ogromny skok ilościowy, a także jakościowy. Faktem, który nie może pomniejszyć tych osiągnięć, jest jednak i to, że dopiero niewiele **ponad 50 proc. mieszkańców** posiada nowe mieszkania. Liczba ta wymaga jednak komentarza, bo ilustruje pewien problem. Samodzielne mieszkanie dla każdej rodziny nie musi oznaczać, że ma to być nowe mieszkanie. Chodzi tu o bardzo ważną sprawę modernizacji starych zasobów w taki sposób, aby pozyskiwać w pełni nowoczesne mieszkania nie gorsze od nowo budowanych, a czasami ze względu na lokalizacje i większe powierzchnie atrakcyjniejsze od budownictwa „blokowego". Sprawie tej poświęca się wiele uwagi, ale sam proces ze względu na stosowanie metod rzemieślniczych jest powolny. Niemniej na ten cel poświęca się corocznie w skali miasta ok. 600 milionów złotych.

Jak obserwujemy wszyscy, Łódź rozbudowywała się tak jak nakazywały powojenne warunki: **na obrzeżach miasta**. Ten proces trwa do dziś, chociaż w ostatnich latach budowlani weszli do Śródmieścia. W tym naturalnym zjawisku nie ma nic złego, ale jest ono przyczyną dodatkowych trudności, jaką jest niedostatek uzbrojonych terenów. Trudności stare i znane, ale co gorsza nadal aktualne. Obecnie ok. **55 proc. nowo wznoszonych obiektów buduje się równolegle z pracami uzbrojeniowymi.** Nie do rzadkości należą przypadki, że do nowego bloku nie można wprowadzić mieszkańców, bo opóźnia się podłączenie instalacji wodnej czy gazowej.

Wiadomo, że budowlani powinni otrzymywać z rocznym wyprzedzeniem przygotowany (czyli m. in. uzbrojony) plac budowy. Jednakże potencjał przedsiębiorstw tworzących infrastrukturę jest z jednej strony ograniczony, z drugiej zaś postęp techniczno-technologiczny nie dotrzymuje kroku przemianom, jakie zaszły w budownictwie. Nadal instalacje elektryczne, gazowe, wodne, kanalizacyjne, roboty drogowe powstają w oparciu o stare, wysłużone, nisko wydajne metody pracy. Oczywiście postęp jest tu trudniej wprowadzić, trudno szybko liczyć na jakieś rewelacje techniczne, ale zaakceptować istniejącą sytuację jest nie sposób. Tak czy inaczej specjalistyczne przedsiębiorstwa inżynieryjne muszą tę barierę pokonać.

Problem powyższy w odczuciu społecznym prawie nie istnieje, nie „widać" go, jest sprawą inwestorów i wykonawców. Natomiast **budownictwo towarzyszące**, jego zdecydowane nienadążanie, jest pod stałym obstrzałem społecznej krytyki. Szkoła w dzielnicy, ośrodek zdrowia, sklepy, punkty usługowe, to dla mieszkańca sprawa tak samo ważna jak dach nad głową. W tym wypadku przyczyny istniejących trudności są podobne. Szybciej rosną stawiane metodami przemysłowymi domy mieszkalne, niż tradycyjnie wznoszone obiekty usługowe. Cykl owych budów oficjalnie akceptowany jest horrendalnie długi: wynosi od 18 miesięcy do 3 lat. Do tego dochodzi brak równomierności spływu środków i limitów na poszczególne obiekty ze względu na różnych inwestorów. (Np. szkoła powstaje ze środków Min. Oświaty, ośrodek zdrowia Min. Zdrowia itp.). Wnioski w tej sprawie są oczywiste i zostały na plenum sformułowane.

Bardziej jednak znaczący wydał mi się wniosek **Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa**, aby nowe zespoły mieszkalne rozpoczynać od budownictwa towarzyszącego, które do chwili zakończenia budowy służyłoby jako zaplecze socjalno-techniczne budowlanym. W ten sposób udałoby się uniknąć budowania prowizorek oszczędzając na materiałach i z góry przesądzona byłaby sprawa terminowości oddawania tak ważnych dla ludności obiektów. Życzyć by więc tylko wypadało, aby ten prosty i znakomity pomysł został konsekwentnie wcielony w życie. Również z korzyścią dla samych budowlanych. Nie jest przecież tajemnicą, że pracują oni w bardzo trudnych warunkach, często na wydłużonym dniu pracy, bez wolnych sobót, bez możliwości korzystania z tych wszystkich zdobyczy socjalnych, które są już własnością prawie wszystkich załóg fabrycznych naszego miasta.

Zadania w budownictwie mieszkaniowym na lata 1976—80 określa liczba 64 tys. nowych mieszkań. Ich wykonanie nie byłoby możliwe bez dalszej rozbudowy potencjału wytwórczego. Powstaną więc **dwie dalsze fabryki domów**, w Łodzi przy ulicy Lodowej oraz w Pabianicach. Planuje się także wybudowanie wytwórni dla produkcji elementów dla budownictwa domków jednorodzinnych. (W skali kraju jest to istotna pozycja w bilansie mieszkaniowym, aktualnie w województwie łódzkim minimalna). Przedsiębiorstwa budowlane otrzymają więcej ciężkiego sprzętu, narzędzi, zmodernizowane zostaną niektóre technologie już przestarzałe. Poprawie musi ulec jakość i efektywność pracy, jako źródło istotnych rezerw.

Jakość i efektywność były zresztą głównym tematem plenum i w referacie I sekretarza KŁ PZPR — **Bolesława Koperskiego**, tym sprawom poświęcono najwięcej uwagi. Znane hasło rzucone przez łodzian na VII Zjeździe **„po mnie poprawiać nie trzeba"** — przypomniał I Sekretarz — dotyczy także budowlanych. W dyskusji, w której zabierali głos spółdzielcy — inwestorzy, wykonawcy z różnych szczebli zarządzania, działacze partyjni zwracano uwagę, że w tym zakresie pozostaje wiele do zrobienia. I dotyczy to wszystkich, którzy bezpośrednio i pośrednio uczestniczą w procesie inwestowania. Trudno np. byłoby mówić o poprawie jakości mieszkań bez udziału wielu przemysłów pracujących na rzecz budownictwa.

Prawie 60 proc. materiałów dostarczanych jest na plac budowy spoza resortu budownictwa. I budowlani słusznie narzekają na złą jakość wykładzin, tapet, klejów, armatury, ale z drugiej strony brak jest z ich strony energicznego przeciwdziałania. Sami płacąc kary za różnego rodzaju „niedoróbki" nie zgłosili do arbitrażu ani jednego ze swoich dostawców. Jest to tolerancja, która w jakiś sposób sankcjonuje istniejącą sytuacje i w żadnym wypadku nie powinna mieć miejsca. Bardziej elastycznie muszą być traktowane ceny materiałów. Np. wykładzina „Lentex", której jakość ostatnio znacznie się pogorszyła ma nadal cenę nowości i jest droższa od parkietu. Określenie podstawowego standardu mieszkania też musi ulegać zmianie, z każdym przecież rokiem posiadamy coraz większe możliwości poprawy jakości i funkcjonalności mieszkań. (Np. w ostatnim pięcioleciu średnia wielkość mieszkania zwiększyła się z 42,6 do prawie 50 m kw.).

Najistotniejszą rezerwą w budownictwie jest **organizacja pracy.** Trudności materiałowe są faktem, ale przecież ostatecznie domy powstają wyposażone we wszystko jak należy. Rzecz jest więc w rytmice dostaw, a raczej jej braku. Nieterminowe dostawy materiałów, elementów, wyposażenia powodują niepotrzebne straty czasu, utrudniają racjonalne wykorzystanie zarówno ludzi jak i sprzętu. (Wg oficjalnych statystyk wykorzystanie ciężkiego sprzętu wynosi 80—90 proc. ale liczby te wydają się niezbyt przekonywające). Dalszych usprawnień wymaga również **poprawa jakości procesu technologicznego** w produkcji elementów prefabrykowanych, usprawnienie transportu z wytwórni na plac budowy, właściwe magazynowanie materiałów, aby uniknąć niepotrzebnych strat i zniszczeń, a w dalszym etapie rygorystyczne przestrzeganie technologii montażu.

Sprawą, która już ma swoją złą sławę jest odbiór gotowych obiektów. Tutaj dość często, jak zwykle gdzie występują rozbieżności interesów sprzedającego i kupującego, dochodzi do kompromisów, których konsekwencje ponoszą przyszli użytkownicy. **Do rzadkości należą obiekty oddawane bezusterkowo.** Dla przykładu podajmy, że obecnie w Okręgowej Komisji Arbitrażowej znajdują się **123 sprawy**, w których kwestionuje się jakość obiektów na kwotę 45 mil. zł. Sytuację pogarsza fakt, że usuwanie usterek trwa stanowczo za długo, w granicach 7 do 12 miesięcy. Nasuwa się pytanie, kto płaci te kary? Oczywiście nikt personalnie, konsekwencje ponoszą całe załogi w postaci pogorszonych wyników ekonomicznych. A przecież wiadomo, że nie wszyscy pracują źle, a odwrotnie: znikoma ilość pracowników swym brakoróbstwem obciąża dobre imię załóg, nie dopuszcza by radość z nowego mieszkania była pełna. Z uznaniem należy więc przyjąć zapowiedź **Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa** skończenia z anonimowością wykonawstwa oraz konsekwentnego rozliczenia z jakości, stawianie na ludzi, ich kwalifikacje, zaangażowanie i świadomość społeczną.

Krytyczne uwagi można by mnożyć, nie w tym rzecz. Ogrom zadań, w którego realizacji bierze udział 45-tysięczna rzesza pracowników budownictwa, wysoka dynamika wzrostu zadań, powodują, że nie wszystko może przebiegać idealnie. Patrząc globalnie należy dotychczasowe wyniki w budownictwie ocenić pozytywnie. Na ostateczne rozwiązanie problemu mieszkaniowego trzeba będzie jeszcze poczekać, ale wydaje się, że podjęte zostały wszystkie niezbędne kroki, aby realizacje programu nie tylko zagwarantować, ale uzyskać nadwyżki. Dokonaliśmy chyba zasadniczego przełomu w myśleniu o tego typu potrzebach. Bo jeśli jeszcze nie budujemy tyle, ile trzeba, to jednak według takiego kryterium nakreślone zostały plany i zagwarantowane środki. Taki jest ostateczny sens uchwał czerwcowego plenum Komitetu Łódzkiego partii.

JERZY WAWRZAK

(Do problemów budownictwa mieszkaniowego powrócimy w najbliższych numerach naszego pisma oddając głos zainteresowanym: inwestorom, wykonawcom, działaczom a także czytelnikom.)

MUZYKA

PO SEZONIE

Tradycyjnymi „koncertami ogródkowymi" a także — co warto podkreślić — czwartą już na przestrzeni ostatnich lat podróżą artystyczną do Włoch, zakończyła pracowity sezon łódzka Filharmonia.

Jaki był ów rok, co przyniósł w darze melomanom? Czy usatysfakcjonował w pełni stałych słuchaczy koncertowych, czy, i w jakim stopniu, przyczynił się do poszerzenia kręgu odbiorców wartościowej muzyki? Spróbujmy jak najogólniej odpowiedzieć przynajmniej na niektóre pytania, zwracając w pierwszym rzędzie uwagę na całokształt repertuaru Filharmonii w ciągu minionego sezonu.

Z kwestią tą wiąże się zasadnicze spostrzeżenie. Otóż w repertuarze koncertów symfonicznych przeważała zdecydowanie muzyka dwóch epok: klasycyzmu i romantyzmu, przy czym wybrani kompozytorzy byli uprzywilejowani. Przede wszystkim — Ludwig van Beethoven. Przypadająca w marcu 150 rocznica śmierci mistrza z Bonn spowodowała, że mieliśmy okazję wysłuchania wszystkich jego koncertów fortepianowych (niektórych dwukrotnie), najbardziej popularnych uwertur oraz symfonii (włącznie z Dziewiątą). Zabrakło wprawdzie Koncertu skrzypcowego czy ewentualnie którejś z nieznanych jeszcze u nas, nowo odnalezionych kompozycji — była natomiast, wykonana siłami studentów PWSM, Msza C-dur.

Spośród romantyków szczególnie eksponowani byli Brahms i Czajkowski. Utwory ich rozbrzmiewały wielokrotnie, częściej niż dzieła Mendelssohna, Griega, Dworzaka i innych twórców tego okresu. Warto może było poświęcić odrębny koncert Karłowiczowi, z uwagi na przypadającą w grudniu setną rocznicę urodzin kompozytora. Nie zapomniano wszakże o trzeciej ważnej rocznicy, 40-leciu śmierci Karola Szymanowskiego, które podobnie jak w wypadku Beethovena uświetnione zostało specjalnymi programami symfonicznymi.

Niektóre wieczory na dłużej zapadły w pamięć. Choćby ten, na który złożyły się obydwa brahmsowskie koncerty fortepianowe grane przez amerykańskiego pianistę Jamesa Tocco. Albo też przygotowane przez Zdzisława Szostaka polskie prawykonanie Messa di Gloria Giacomo Pucciniego. Nie sposób oczywiście pominąć mistrzowskich pod względem wykonawczym recitali Światosława Richtera oraz Igora Oistracha, które zgromadziły nadkomplety słuchaczy. Szczególnie cenny z punktu widzenia umuzykalnienia mniej przygotowanych odbiorców, skutecznego uprzystępnienia im nie najłatwiejszej muzyki, był zakończony w listopadzie popularny cykl koncertów telewizyjnych „Nie taki diabeł straszny", prowadzonych przez Henryka Czyża. Udany ze wszech miar wieczór finałowy tego cyklu zawierał, przypomnijmy, oratorium Artura Honeggera „Judith" oraz IV Symfonię koncertującą Szymanowskiego.

Muzyki kantatowo-oratoryjnej było zresztą w sumie dość sporo, a to m. in. dzięki operatywności chóru Filharmonii. Co prawda i tak trochę żal, że nie ma już od kilku lat w naszym mieście wiosennego festiwalu organowo-oratoryjnego, imprezy atrakcyjnej i potrzebnej.

Jest jednak i poważniejszy powód do refleksji. Chodzi o muzykę współczesną, tę najnowszą, tworzoną obecnie, muzykę zarówno polską, jak i obcą, która w programach łódzkiej Filharmonii praktycznie nie istnieje. I tak, w ciągu ostatnich 10 miesięcy nie była wykonywana, biorąc pod uwagę najświetniejszych kompozytorów polskich, żadna kompozycja Bairda, Pendereckiego, Kilara, Serockiego. Lutosławskiego zagrano tylko raz („Małą suitę" z roku 1950) zaś Góreckiego jedynie „3 Utwory w dawnym stylu". Znalazła się, owszem, w programie „Folkmusic" Krauzego i całkiem zbytecznie... ilustracja do serialu telewizyjnego „Dyrektorzy" Piotra Marczewskiego. Słyszane nieraz tłumaczenie, że zapotrzebowanie na nową muzykę jest w Łodzi niewielkie, należałoby prawdopodobnie zastąpić skuteczniejszymi formami kształtowania zainteresowań i potrzeb w tym zakresie.

Jeśli już mowa o minusach, niewiele było w trakcie zakończonego sezonu prawdziwie wielkich nazwisk — solistów i dyrygentów. Sam zaś wybór zapraszanych artystów sprawiał niekiedy wrażenie przypadkowości. Cenimy np. wszyscy młodych i utalentowanych wirtuozów, lecz czy kilkakrotne, następujące nieraz w krótkich odstępach po sobie występy tych samych muzyków, to nie przesada?

Tak więc, już tych kilka uwag świadczy o tym, że sezon koncerowy Filharmonii Łódzkiej 1976/77, obok niezbyt licznych wydarzeń zasługujących na bezsporne uznanie, budzić może także kontrowersje. Jak będzie w roku następnym — przekonamy się niezadługo.

JANUSZ JANYST

SPROSTOWANIE

W odcinku pt. „Anegdoty rosyjskie" („Odgłosy" z dnia 26.06. 77) przed opowiadaniami: „Los bohatera", „Chłop i doktorzy", „O Krytykach" i „Przypowieść biblijna" — nie dostrzeżono braku nazwiska autora. Jest nim Lew Tołstoj. Przepraszamy!

H.

INFORMACJE

Łódzcy artyści nagrodzeni

Rozstrzygnięty został piąty już z kolei ogólnopolski konkurs na grafikę na który nadesłano blisko 300 prac. Jury pod przewodnictwem prof. Konrada Srzednickiego z Krakowa zakwalifikowało na wystawę pokonkursową 137 prac. Można je oglądać w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza.

I nagrodę za linoryt pt. „figury I" przyznano Józefowi Gaździe z Rzeszowa. Nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymała Alina Kalczyńska z Krakowa, a nagrodę prezydenta m. Łodzi — Jacek Krzysztof Zieliński z Warszawy. Henrykowi Płóciennikowi z Łodzi przyznano nagrodę Zarządu Głównego Zw. Zaw. Włókniarzy a także dwóch łodzian: Jan Hrycek i Jerzy Leszek Stanecki znaleźli się wśród laureatów 8 wyróżnień regulaminowych.

* * *

Łódzki artysta i plastyk Jarosław Zduniewski otrzymał I nagrodę i dwa wyróżnienia w dziale form przestrzennych na ogólnopolskim konkursie na projekty plastyczne z zakresu politycznej propagandy wizualnej związanej z 60 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W tym samym dziale III nagrodę przyznano również łodzianinowi Tadeuszowi Piechurze.

Telewizyjne nowości filmowe

W trosce o usprawnienie i zwiększenie produkcji filmów dla telewizji, powołano Naczelną Redakcję Telewizyjnych Filmów Fabularnych, w której gestii znalazły się zarówno sprawy programowe, jak i produkcyjne. Jednym z zadań nowej redakcji jest nadzór nad realizacją filmów przeznaczonych na mały ekran. Jak wiadomo, ich realizacja zajmuje się telewizyjna wytwórnia „Poltel" oraz — podlegające kinematografii — zespoły filmowe.

W przygotowaniu są: 10-odcinkowy serial „Polskie drogi" reż. Janusza Morgensterna, według scenariusza Jerzego Janickiego (premiera zapowiedziana jest na jesień) oraz kolejna seria 8-odcinkowego „Czterdziestolatka" reż. Jerzego Gruzy, której emisja rozpocznie się zimą.

Inicjatywa łódzkich plastyków

Wielu artystów plastyków w Łodzi zajmuje się projektowaniem tkanin oraz wyrobów odzieżowych i dziewiarskich. Ostatnio plastycy, od których w dużym stopniu zależy jak się ubierzemy, wystąpili z inicjatywą zorganizowania oryginalnego pleneru, w czasie którego mają być opracowane zestawy odzieży poczawszy od butów i pończoch, po szaliki, torebki i czapeczki. Inna godna uwagi inicjatywa plastyków-projektantów przemysłowych, jest próba wyjścia z projektami poza granice kraju. W tej sprawie nawiązano już kontakt z „Textilimpexem", a oferta zainteresowała niektóre zagraniczne firmy.

Rogowski sposób na szkodniki zabytków

W Zakładzie Doświadczalnym Leśnictwa Warszawskiej SGGW — AR w Rogowie w woj. skierniewickim opracowano nową metodę zwalczania szkodników zabytków drewnianych. Metoda ta — biologiczna, polega na wpuszczeniu wyhodowanych w warunkach laboratoryjnych owadów — błonkówek do kanalików niszczonych przez korniki drewnianych przedmiotów, a błonkówka to wróg larw korników. Metoda jest znacznie dogodniejsza w porównaniu z chemiczną, stosowaną dotychczas w pracowniach konserwacji zabytków, gdyż nie niszczy samego drewna. Biologiczna metoda zwalczania pasożytów w zabytkowym drewnie zainteresowała się Akademia Nauk w Moskwie.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

JERZY LENDZION

PAWEŁ UDOROWIECKI

INICJATYWY I ZAMIERZENIA

Foto: Archiwum

Polityczna propaganda wizualna w aspekcie plastycznym musi być traktowana na równi z zagadnieniami wzornictwa przemysłowego i problemami kształtowania środowiska. Tylko działalność w tej skali i wymiarze może przynieść ostateczny wynik społeczny oraz wartościową formę plastyczną, której funkcja jest podrzędna do ostatecznego skutku społecznego. Nie oznacza to oczywiście, że wartość ideowa i artystyczna może być obojętna. Przeciwnie, wszystkie elementy składające się na efekt końcowy muszą znamionować najwyższą wartość i jakość.

Czy zawsze były to i są sprawy tak oczywiste?

Polityczna propaganda wizualna traktowana była i, jeszcze z ubolewaniem należy to stwierdzić — jest — jako działalność okazjonalna z programem prewencyjnym lub interwencyjnym. Jej kształt plastyczny jest nośnikiem różnorakich wartości artystycznych, których forma praktycznie uzupełnia treść i cel działania. A więc daje się zauważyć przerost formy nad treścią. Ale czy tylko?

Formy organizacyjne dotychczasowych działań zakładały skalę najbliższego otoczenia inicjującego akcję: zakład pracy, wydział produkcyjny, fragment ulicy, elewację gmachu itp. Nie było mowy o znalezieniu wspólnej wartości ideowej i artystycznej nawet w tej skali, a już zupełnie „nie wiedział sąsiad co robi sąsiad". Partykularne działania kosztowały po prostu dużo, nie gwarantowały realizacji celu, nie kształtowały i organizowały środowiska, a jednak istniały. Koszt uwidoczniony lub ukryty ponosił organizator, na jego barkach spoczywały również problemy organizacyjno-techniczne. Były duże i są coraz większe, więc skala możliwości ich przezwyciężenia rzutowała na wartość ideową i artystyczną. Nad tą formą organizacyjną ciążyła jeszcze tradycja. Kłopoty i trudności, do których się przyzwyczajamy, nie pozwalają widzieć jasno innych form zwanych często nowatorskimi lub nawet eksperymentami.

Dawno już nie mają prawa głosu i czynu ci, którzy kształtowali nam nasze środowisko przy pomocy pseudoabstrakcyjnych kompozycji, kazali korzystać z niefunkcjonalnych siedzisk, zaśmiecali mieszkania pseudonowoczesnymi formami przemysłowymi, gdzie brak wiedzy i zrozumienia krył się za kakofonią barw, tonami farby i „artystycznymi" kształtami. Stoją oni teraz z boku i podnoszą krytyczne głosy na każdą próbę przełamania tradycji, którą tak mozolnie tworzyli. Niestety, jeszcze odczuwamy ich obecność. Gdzieniegdzie ich pozycje są jeszcze silne. Chciałoby się im zaproponować: albo udział w pracy dobrej, potrzebnej, albo — wysiadka. Hektarami szklanej stłuczki na ścianach, robieniem byle jak nie ukształtuje się środowiska.

Pewien pesymizm naszej wypowiedzi nie jest wynikiem malkontenctwa, lecz wynika z konfrontacji działań w środowisku, które jest w znakomitej sytuacji, jeżeli chodzi o punkt wyjściowy każdych działań, tj. klimat. Władze polityczne i administracyjne województwa łódzkiego taki klimat stworzyły. Przychodzą z pomocą chętnym do podejmowania konkretnych działań. Jest zrozumienie dla inicjatyw, które przy czynnym udziale instancji partyjnych i administracji zamieniane są w konkretne rezultaty. Jest zaufanie i wiara, że wszystkie błędy, które towarzyszą każdej przecież działalności są analizowane i nie mają szans powtórzenia się. Błąd jest bowiem naturalnym zjawiskiem przy tworzeniu nowych wartości. Ten klimat nie dotarł jeszcze całkowicie do mikrośrodowisk, gdzie często więcej kołtuństwa i hochsztaplerstwa niż zdrowego rozsądku.

Ale i optymizm nie jest nam obcy. Skłania do tego choćby czwarta edycja konkursu na polityczną propagandę wizualną w zakładach produkcyjnych. Każda kolejna edycja wnosiła nowe elementy, przyczyniając się do rozwoju zasady kompleksowego kształtowania miejsca pracy, spraw socjalnych, problemy produkcji z reklamą i informacją na ten temat włącznie otrzymały w każdym przypadku konkretny program, poważny, ale trudny do zrealizowania. Takie postępowanie zmuszało do rezygnacji z powierzchowności na rzecz rzetelnej roboty. Działanie to rozwija się we właściwym kierunku. Czuwają nad tym specjaliści, działacze, organizatorzy i realizatorzy. Niosą pomoc tam, gdzie jest ona potrzebna, pomagają w rozwijaniu inicjatyw.

Nie zapominamy o zadaniach. A jednym z nich jest stworzenie systemu politycznej propagandy wizualnej w szkołach. W tej dziedzinie mamy dużo do zrobienia. Niezbędne tu jest rozważne działanie. Młodzież jest bowiem społecznością wrażliwą i inteligentną. Aby dotrzeć do jej wrażliwości, aby móc na nią oddziaływać potrzeba podjąć działanie o wysokich walorach ideowych i formalnych.

Pamiętamy również i o innym obszarze działania, którym są: osiedla, dzielnice, ulice, place, parki. Kilka razy w roku ożywa nasze otoczenie, nabierając odświętnego charakteru. Dekoruje się, lepiej lub gorzej, ale zawsze na okoliczność święta, ze specjalnej okazji. Te okolicznościowe dekoracje przez sam fakt, że zmieniają szarzyznę naszych ulic, cieszą i zadowalają potrzeby estetyczne nas wszystkich. Smutno się robiło dopiero wówczas, gdy znikały kolorowe dekoracje, a gdzieniegdzie straszyły zniszczone i brudne jej pozostałości. W programie sprowadzającym się do hasła: „byle inaczej" ta forma działania była wystarczająca. Czas jednak pokazał, że kokietowanie inności jest niestety tylko fragmentem potrzeb, w dodatku nie najistotniejszych.

Łódzka instancja partyjna wraz z instancjami terenowymi podjęła wysiłki w kierunku przeprowadzenia zmian, które mogą gwarantować podniesienie rangi okolicznościowej dekoracji do rangi politycznej propagandy wizualnej. Szuka się rozwiązań generalnych, kompleksowych i to zarówno pod względem formy jak i treści, odwołując się do zagadnień społeczno-ekonomicznych aglomeracji i jej udziału w procesie kształtowania przemian kraju.

Widzenie problemu w tej skali daje możliwość wystawienia wizytówki dla całej aglomeracji, na którą składa się wysiłek i działanie każdego mieszkańca. W procesie przemian zarówno miejsca pracy jak i miejsca zamieszkania wyznacza się więc program i kierunek działań wspólny dla wszystkich, dając tym samym możliwość pełnej konkretów wypowiedzi. Dla wspólnej treści szuka się również wspólnj formy przekazu. Jest nią przekaz informacji w środkach masowego przekazu. Jest nią fotogazeta, plakat, fotografia, obraz lub grafika. Może też nią być witryna sklepu lub punkt propagandowy, stały czy okazjonalny.

Efekty są na razie skromne. Brak bowiem odpowiednich form organizacyjnych, doświadczeń, wyspecjalizowanej placówki, która mogłaby ponieść trudy koordynacji, jak i realizacji kompleksowych programów w skali całej aglomeracji. Wprowadzenie unifikacji w realizowaniu kompleksowych rozwiązań, koordynacja poczynań przy tworzeniu i realizacji programów — to elementy niezbędne w pracy współczesnego projektanta.

Stworzony klimat zobowiązuje do konkretnych działań. Nie można bowiem czekać aż powstaną idealne warunki organizacyjne i techniczne. One powinny powstać w marszu, w działaniu, narodzić się z praktyki, jako że jest to jedyna droga, którą wyznacza potrzeba polityczna i gospodarski stosunek do wszystkich naszych poczynań. Wzbogacamy już obecnie swoje doświadczenie. Odchodzą z naszych szeregów ci, którzy nie rozumieją nowych potrzeb. Wśród ludzi tworzących polityczną propagandę wizualną potrzebni są świadomi nowych zadań działacze, zaangażowani i ambitni twórcy, dobrzy organizatorzy. W miarę doskonalenia i rozwoju bazy technicznej będzie się można koncentrować na dalszym doskonaleniu form przekazu z coraz wybitniejszymi wartościami i walorami ideowo-artystycznymi. Łódzkie środowisko animatorów, działaczy i twórców włączyło się do prac nad ukształtowaniem nowoczesnej propagandy wizualnej.

NIE TYLKO HISTORIA

DZIEJE DIALEKTYKI

Doprawdy zadziwiające, jak mało posiadamy syntetycznych opracowań... historii marksistowskiej filozofii. Syntetycznych, to znaczy takich, które ogarniałyby jakąś większą całość tego przeogromnego obszaru problemowego, a nie ograniczały się do zanalizowania takiego lub innego jego wycinka. Wprawdzie po II wojnie światowej ukazało się parę książek, mających ambicje objęcia całości dziejów marksizmu, trudno je przecież uznać za zadowalające. Większość z nich była pisana z określonych, bynajmniej nie sympatyzujących z marksizmem pozycji. Można to z całą pewnością powiedzieć o wydanej w 1953 r. w Wiedniu książce G. Wettera. Wiele zastrzeżeń budzi również jugosłowiańska publikacja o historii marksizmu, z którą nie tylko nasi uczeni nie raz polemizowali. Więcej niż ujęć całościowych jest z pewnością prac, ogarniających część tej złożonej problematyki.

W Związku Radzieckim prowadzone są nadzwyczaj interesujące badania nad dziejami rosyjskiej filozofii marksistowskiej, w ubiegłym i początkach naszego stulecia. Badania te przyniosły bardzo ważkie rezultaty: ujawniono w nich zjawiska i procesy, o których dotąd nikt niemal nie wiedział, ukazano wielostronną aktywność licznego grona myślicieli, działających w Kraju Rad w pierwszych latach po Rewolucji Październikowej. U nas tymi zagadnieniami zajął się Kazimierz Ochocki. Zrozumiałe, że w literaturze polskiej zwrócono się przede wszystkim do badania polskiej myśli marksistowskiej. Rezultaty, osiągnięte w tym zakresie — głównie przez Seweryna Dziamskiego, który tym zagadnieniom poświęcił trzy swoje książki — skłaniają do refleksji. Ukazują bowiem jednocześnie znaczne bogactwo tradycji naszej myśli marksistowskiej oraz fakt jej... stosunkowo małej znajomości, nikłość dorobku badawczego w tym zakresie. O bardzo wielu myślicielach wiemy niewiele więcej niż nic, a o tych, o których — zdaje się nam — wiemy już całkiem sporo, wiemy nieraz niedokładnie i nie wszystko. Stąd zaskoczenie, kiedy dokładna lektura czyichś pism prowadzi od razu do zakwestionowania istniejących i zdawałoby się uzasadnionych ocen. Przykładem niechaj będzie tu twórczość Ludwika Kulczyckiego. Przy dokładniejszym wejrzeniu w jego dorobek okazuje się, jak tego dowodzi jeden z młodych badaczy, działających w Łodzi, że przedstawia się on zgoła inaczej niż w dotychczasowych ocenach, formułowanych w literaturze naukowej.

W tej sytuacji trudno z pewnością o pełną syntezę — kiedy nie przeprowadzono dostatecznych badań analitycznych, umożliwiających skonstruowanie syntetycznego obrazu całości. Tym niemniej trzeba byłoby sobie życzyć, aby wielkie zagadnienie syntezy nie uchodziło z horyzontu badaczy. O tym, że nie uchodzi ono z horyzontu historyków marksizmu, świadczy przetłumaczona ostatnio na język polski radziecka praca zbiorowa, zatytułowana: „Historia dialektyki marksistowskiej. Od powstania marksizmu do etapu leninowskiego", ogłoszona przez wydawnictwo „Książka i Wiedza" (1977).

Książka ta została poświęcona nadzwyczaj ważnemu zagadnieniu, a mianowicie „badaniu procesu tworzenia i rozwijania przez Marksa i Engelsa dialektycznej metody naukowej". Jest to nie — jak sugerowałby tytuł — historia marksistowskiej dialetyki tak, jak ją rozumiały generacje marksistów w różnych krajach, ale historia kształtowania się i rozwoju dialektyki w koncepcjach twórców marksizmu. Godzi się zauważyć, że warto byłoby potraktować rzecz również nieco szerzej, zgodnie z tytułem dzieła, i zająć się nie tylko historią formowania się koncepcji twórców marksizmu, ale również dziejami jej społecznej recepcji, zróżnicowanego rozumienia i interpretowania ich poglądów przez rozmaitych działaczy i myślicieli. Rozumiem, że sprawa jest niezmiernie trudna i że inicjując badania nie sposób było uczynić inaczej niż tak, jak to zrobili właśnie radzieccy autorzy omawianej książki. Konieczne było bowiem rozpoczęcie od historii narodzin koncepcji twórców marksizmu. Trzeba oddać sprawiedliwość autorom tej ambitnej książki, że aczkolwiek zastrzegli się, że przedmiotem ich badań są dzieje rozwoju dialektyki materialistycznej do okresu, związanego z imieniem W. I. Lenina wyłącznie, w ostatniej części dzieła postarali się przecież o zaprezentowanie zarysu dorobku uczniów M. Marksa i F. Engelsa oraz popularyzatorów ich koncepcji. Uczyniono to bardzo zarysowo — inaczej było to niemożliwe, bowiem trzeba by na to paru sporych książek — wskazując na aktualne znaczenie dialektyki K. Marksa i F. Engelsa we współczesności.

Książka to ambitna i pobudzająca do myślenia. Na pewno dobrze się stało, że doczekała się ona polskiego przekładu. Może kiedyś doczeka się również tłumaczenia któraś z radzieckich rozpraw, poświęconych sporom filozoficzno-socjologicznym, jakie rozwijały się w Kraju Rad po Rewolucji Październikowej. Ich znajomość posiada istotne znaczenie dla zrozumienia późniejszego rozwoju zarówno marksistowskiej, jak i przedstawiającej inne kierunki myśli filozoficznej i społecznej. Myślę tu o pracach B. Czagina i innych badaczy — rzeczy to odkrywcze i pasjonujące, więc warto byłoby pomyśleć o ich przetłumaczeniu w naszym kraju.

LEKTOR

za dymną zasłoną

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Jakaś pani do pana — zwraca się w naszą stronę Krystyna zza kontuaru baru.

Wychylamy się w jej stronę z foteli — Władzio, Reżyser i ja.

— Do pana, do pana — mówi Krystyna wskazując na mnie.

Patrzę w stronę baru niewidzącym wzrokiem — któż to może być?

Już wiem — mówi Reżyser, to taka dupa co kręci się w jakiejś redakcji, coś tam redaguje, choć nikt nie bardzo wie co i poluje na chłopaków, uważaj stary. A jakie to obrotne? potrafi się wcisnąć wszędzie i za każdą cenę, choćby ja nawet przeganiali. Daję ci słowo, że kiedyś na chama wcisnęła się na stypę. Słyszałem, jak dawali jej do zrozumienia, że jest niepożądana, nic z tego, została. Została na stypie by spotkać się z jakimś literatem, o to jej chodziło, bo snobizm tej dziwki graniczy z obłędem. I trwała tak na tej stypie do końca, do chwili, gdy goście po przepiciu zdrowia nieboszczyka zaczęli śpiewać...

Halyna Żadna, jak ją nazywają moi znajomi, bo to ona właśnie chciała się ze mną widzieć — wspina się na palce, usiłując mnie wypatrzeć pośród tłumu przy zestawionych stolikach.

— Idę.

— Tylko jej czasem tu nie przyprowadzaj — krzyczy Reżyser dostatecznie głośno, by i tamta mogła go z pewnością usłyszeć.

Idę z wolna, lekko chwiejnym krokiem w stronę baru. Uderza mnie fala gorąca, odór potu zmieszanego z ostrym zapachem dezodorantu, i perfum „Alicja". Halyna już z daleka usiłuje się wdzięczyć odwracając się na wysokim barowym stołku w moją stronę. Jest niska, krępa, przysadzista, ma zbyt szerokie biodra, jest w nadto krótkiej sukience, by ukryć zbyt obfite i krzywawe odnóża. Staje na powitanie obok stołka barowego, a ja patrzę z odrazą na jej wykrzywioną figurę odstające chorobliwie, jak po krzywicy — żebra i dziwacznie rozstawione piersi. Wolałbym już witać się ze stołkiem barowym niż z nią.

— Państwo się znacie? — Operator usiłuje przedstawić nas sobie, choć język mu się plącze i głowa zatacza nieregularne kręgi. To mój przyjaciel — wskazuje na mnie, a to, kiwa głową w stronę Halyny — Halyna Żadna, prze... prze...prrraszam — poprawia się czkając panna Halyna Żadna...

— Odczep się Jerzy — Halyna usiłuje się uśmiechnąć, chce przezwyciężyć najwidoczniej zażenowanie, czemu wygadujesz bzdury, skoro wiesz, że jestem mężatką.

— Twój mąż nie żyje od wielu lat, ale czy to nie wszystko jedno czy masz męża, czy nie? czy jesteś wdową, czy rozwódką? Dla mnie zawsze będziesz starą panną. Ty byłaś starą panną od urodzenia, może nawet w stanie embrionalnym, nim cię zdołali połamać w dzieciństwie, że wyszłaś na taką karykaturę.

— Jeśli się nie uspokoisz — sepleni jadowitym szeptem Halyna, to poskarżę się mężowi.

— Twój mąż nie żyje, nie żyje od wielu lat.

— Jak to nie żyje?

— Powtarzam ci, że twój mąż nie żyje, mówił mi o tym kilka dni temu.

Krystyna przysłuchująca się rozmowie — prycha, jest chyba lekko podchmielona, oparta o blat baru wychyla się w naszą stronę. Dla przytłumienia rozpierającego mnie chichotu pochylam się nisko, ujmuję dłoń Halyny i cmokam w warstwę kremu z równa odraza z jaka bym całował gada.

— Proszę nie zwracać na nich uwagi zataczam ręka nieokreślony krąg, to loża szyderców, zresztą podpici...

— Przepraszam pana — mówi Halyna, może przyszłam trochę nie w porę, ale właśnie byłyśmy tu z dziewczynami....

— To znaczy była pani z wnuczkami na wycieczce — wtrąca Krystyna....

— Przepraszam — Halyna usiłuje udawać, że nie słyszała tamtej, ale właśnie znalazłam chwilę czasu, gdy moje koleżanki ze studiów...

— Pani studiuje? robię minę niby to komplementarza.

— Nie, to znaczy — jąka, mówiłam o koleżankach z którymi kiedyś studiowałam, zrobiłyśmy sobie właśnie takie spotkanie...

— W dwadzieścia pięć lat po studiach? — Krystyna znów prycha. Wiesz Franku — zwraca się do mnie, że starzejące się panie usiłują odmłodzić się przez wzajemne nazywanie się dziewczynami.

— Niech pani przestanie — zwraca się w jej stronę Halyna, pani jest pijana.

— Co tu tak śmierdzi potem, dezodorantem i perfumami „Alicja"? — wpada jej w słowa Krystyna.

Personel tu rozwydrzony — mówi Halyna chcąc upokorzyć Krystynę.

— Tak, tak — podchwytuje Krystyna, personel uwziął się na babcie, dziś już młodzież nie taka, nie uszanuje starszej osoby...

— Chodźmy — mówi Halyna, tłumiąc gniew w głosie, byle bym nie zauważył, że jest całkiem wyprowadzona z równowagi. Pani jest bardzo prymitywna — zwraca się do Krystyny. Zresztą wie pani doskonale, że nie mam nawet dzieci, czemu więc przyczepia się pani z tymi epitetami?

— Owszem, wiem — mówi Krystyna, przed laty wyznawała mi pani, że nie będzie pani mieć dzieci, bo by pani przeszkadzały w robieniu kariery. I jakąż to pani zrobiła Karierę? Kim pani jest? Co pani w ogóle zrobiła z wyjątkiem drobnych świństewek w całym swoim życiu?

— Chodźmy, chodźmy — wołam chcąc zażegnać awanturę, która już się właściwie zaczęła. Ta dziewczyna jest pijana. Pani ją znała wcześniej?

— Nie lubi mnie — mówi Halyna, bo nie tolerowałam jej alkoholizmu, gry pracowała w biurze naszej redakcji. Ale przeholowała, to jej nie ujdzie na sucho, biorę pana na świadka.

Prowadzę ją w kąt, w pobliżu drzwi, przyznam się, że intryguje mnie jednak sprawa z jaką przyszła do mnie Halyna. Ona sama przeprasza, idzie do toalety, jest zaczerwieniona z gniewu, bliska płaczu, czy wybuchu tłumionej wściekłości. Gdy znika — grożę Krystynie, która od baru wywala w moją stronę cały język i zgina w łokciu rękę tak zabawnie, że wszyscy którzy to widzą — wybuchają śmiechem, wtóruję im. Kelnerce każę przynieść chłodne płyny i koniak.

— Widzę, że pan był uprzejmy zrobić zamówienie.

— Czy może dla pani coś jeszcze?

— Nie, Halyna jest całkiem odmieniona, z przypudrowanymi policzkami lepiej jej udawać, że wszystko jest w porządku, ale udaje źle.

— Pani zdrowie.

— Dziękuję — uśmiecha się zalotnie, choć wygląda to karykaturalnie i wlewa koniak wprost do gardła.

— Długo pan zabawi w tym plenerze?

— To zależy od Reżysera — mówię.

— On tu jest? — pyta z głupia frant Halyna, choć jestem pewien że słyszała jego słowa. Właściwie chcę się z nim również zobaczyć — mówi, oczywiście później, może będzie okazja, chciałabym uzgodnić program, umieszczenie klisz, nie wiem jakie kadry będą mu odpowiadały, bo ten idiota Jerzy dał mi ich bardzo wiele.

— Pani robi program?

— Tak, redaguję program i plakat — mówi Halyna usiłując nadać swym słowom powagę. Gotowa byłaby chyba pokazać mi legitymację służbową.

— Ach tak, rozumiem — mówię, wiem wreszcie co panią tu sprowadza. Niestety nie będę mógł pani pomóc, bo Reżyser strasznie zajęty, nie odstąpi od omawiania z Władziem planów na jutro. A to może się przeciągnąć, tym bardziej, że popijają przy tym, kłócą się — słyszy pani?

— Ależ nie tylko to mnie tu sprowadza, chciałam się z panem zobaczyć, by przekazać pozdrowienia od Ewy, mojej przyjaciółki, wie pan tej z wydawnictwa. Mówiła mi niezwykłe rzeczy o pańskiej nowej książce.

— Nowej książce? To pani zna się z Ewą?

— Oczywiście, znamy się jeszcze z teatrzyku studenckiego, w którym z nią występowałam. Ewa mówiła mi wiele o panu, pokazywała mi pańskie rozprawy w „Przeglądzie"...

— Nie ma o czym mówić — macham lekceważąco ręką.

— Czyżby pan zrezygnował z kariery naukowej?

— Raczej kariera naukowa rezygnuje ze mnie — mówię bezwiednie i zaczynam żałować. A może ją tu przysłał Major?

— Halyna uśmiecha się obnażając cały garnitur krzywych zębów — widzę, że jest pan w doskonałej formie, dowcipy się pana trzymają. Ale rozumiem pańską potrzebę zmiany. Zresztą sądzę, że jest pan urodzonym artystą, więc chyba rygory naukowe nie odpowiadały panu i wreszcie trafił pan na złotą żyłę...

— Co tam u Ewy — usiłuję zmienić temat rozmowy.

— Ewa jest w doskonałej formie, zakochała się w młodym poecie — zamieszkali z sobą, dodaje dyskretnym szeptem.

— Zwariowała?

— Źle ją pan osądza, wszystko czym żyła dotychczas przestaje się liczyć, ona naprawdę odnalazła się w tym związku, kocha go.

— Kiedy to się stało, pytam dla odwrócenia uwagi od poprzedniego tematu, bo oczywiście o Ewie zdążyłem się już dowiedzieć wcześniej. Ewa przyszła na obiad do Artystycznej, siedziałem w pobliżu, gdy do stolika Ewy przyszedł młody poeta, mocno pijany Kolich i zapytał bez ogródek, czy chce się z nim przespać. Ona zaś zażenowana moją obecnością odpowiedziała szeptem — tak. I tak dokonało się owo zakochanie Ewy. Ewa wygląda równie staro, jak Halyna i byłem zdumiony raczej tym, że Kolich mógł ponowić swą propozycję, gdyż wiedziałem, że nie miał we zwyczaju sypiać więcej niż raz z tego typu paniami. Może w ten sposób załatwiał sobie jakąś sprawę?

— Niedawno — mówi Halyna, ale jestem przekonana, że oboje są szczęśliwi. Sądzę, że Kolichowi wyjdzie na dobre ten wybór, tym bardziej że on taki rozwichrzony znajdzie w niej podporę, ją zaś odświeży uczuciowo ten związek, co jest przecież pożyteczne dla osoby, która jest uosobieniem dyscypliny naukowej i zapracowanej w tym wydawnictwie. Ale, ale — słyszałam od Ewy wiele dobrego o pańskiej nowej książce. Bardzo mnie ta powieść zainteresowała.

— Proszę pani — mówię przezwyciężając ociężałość głowy po tych wszystkich kielichach, które już dziś wysuszyłem i po rewelacjach, które usłyszałem od Halyny — Ewa nie widziała jeszcze tej książki i nie zna niczego poza konspektem, który złożyłem, by otrzymać zaliczkę...

— Ależ sam konspekt jest już rewelacyjny — mówi Halyna.

— Teraz już mniej więcej wiem po co Halyna tu przyjechała, chciałem pani jednak powiedzieć, że ta książka nie zostanie napisana.

— Jak to, rezygnuje pan z tak rewelacyjnego pomysłu?

— Rezygnuję. Bo widzi pani, jak tu przyjechałem, spotkałem fagasa Hrabiny, to znaczy — chciałem powiedzieć woźnego muzeum, w którym rezyduje teraz Hrabina i ten mi powiedział: Hrabina wyszła o godzinie piątej, więc musiałem zrezygnować z pisania, gdyż obiecałem sobie, że pierwsze słowa tego człowieka będą otwierać tę powieść.

— Nie rozumiem?

— Czyżby pani nie wiedziała, że nie wolno zaczynać powieści od słów „Hrabina wyszła o godzinie piątej"?

— A dlaczego?

— Musiałbym pani zrobić dłuższy wykład, a przecież nie warto marnować czasu na tak błahe rzeczy...

— Pan sobie żartuje, a...

— Nie żartuję, dworuję sobie. Pani zdrowie — wznoszę kieliszek. Halyna przeżuwa w sobie jakieś sprzeczne uczucia, widzę, że czuje się upokorzona, a jednocześnie chciałaby dowiedzieć się ode mnie możliwie wiele i chyba nie chciałaby popsuć tego spotkania ze względu na fakt, iż ma w dalszym ciągu nadzieję na przespanie się ze mną. Być może i do niej dotarła moja dziwnie podejrzana sława erotomana za przyczyną diabli wiedzą jakich osób, które od lat przypinają mi tę łatkę. Mimo wszystko zaczyna wdzięczyć się, odstawiając kieliszek.

— Dostrzegłam to — mówi, że pan sobie dworuje ze mnie, bo przecież według pańskiej powieści zrobiono scenariusz do tego filmu, który tu teraz kręcicie.

— Proszę pani — kto dziś nie kręci?

— Stajesz się zabawny — Halyna usiłuje niepostrzeżenie przejść ze mną na ty.

— Nie jestem jedyną postacią w tym lokalu, o której dałoby się powiedzieć, że jest zabawna. Halyna czerwienieje tym bardziej, że odpowiadając jej podkreśliłem słowa — proszę pani.

— Oczywiście — rzuca, tylu tu dziś podpitych, że rzeczywiście człowiek czuje się trochę, jak w nadrealnym świecie. Muszę panu powiedzieć, że jest pan tak miły i dowcipny, że jestem panem oczarowana. Zresztą słyszałam wiele dobrego o panu również od mego męża, który zna pana od dawna i wiele mi o panu opowiadał. Fascynuje go pańska twórczość choć nieprofesjonalnie — sepleni Halyna i mówi, mówi, byle zakrzyczeć w sobie urazy i byle wyzwolić odwagę, bo już widzę do czego zmierza.

— Dziękuję za miłe słowa, rzadko daje mi się słyszeć...

— Panie Franku, znamy się co prawda krótko, ale ponieważ zna pan mego męża i spotykacie się czasem, sądzę, że i my powinniśmy wypić brudzia.

— Chętnie, mówię podcięty tupetem tej dziwki, ale czy mąż nie będzie zazdrosny?

— Znów pan sobie dworuje, zresztą muszę panu powiedzieć, że gdyby nawet, to on się nie liczy.

Na złość całuję ją w policzek, z odrazą.

— Franku, czy nie znalazłoby się tu jakieś miejsce w motelu, czy gdzieś indziej?

— No, przecież jesteś z dziewczynami.

— Tak, ale im nie chciało się chyba czekać na mnie i sądzę, że odjechały do miasta.

— Ja śpię w jednym pokoju z Reżyserem — mówię udając, że nie wiem o co jej chodzi. A w ogóle muszę ci powiedzieć, że z miejscami jest krucho, nawet część ekipy aktorskiej dowozimy na plan autokarem z miasta.

— Franku, Reżyser cię prosi — krzyczy od baru Krystyna.

— Przepraszam cię — bełkocę udając bardziej pijanego, niż jestem, będziemy się musieli pożegnać, bo mam jeszcze wiele pracy. Reżyser umawiał się ze mną na skonsultowanie jutrzejszych zdjęć. Nie gniewaj się, że jestem niegościnny, ale sama rozumiesz, praca z filmowcami, to koszmar.

— Halyna usiłuje opanować się — no dobrze, rozumiem cię, ale co ja teraz poczne? Autobusy już nie chodzą, a ja nie mam pojęcia jak dostać się do miasta?

— To nic trudnego, my tu zawsze w miarę potrzeb jeździmy tzw. „okazją". Odprowadzę cię i pomogę. Nieznacznie daję znaki ręką Krystynie.

— Zdaje się, że ktoś odjeżdża — mówi Halyna wskazując mężczyznę przy samochodzie.

— A więc pędź, chyba ci nie odmówi, cześć, pozdrów męża...

Halyna dobiega do jakiegoś pijanego typa, który wygląda anachronicznie w swoim ciemnym garniturze i usiłuje daremnie wcelować kluczykiem w dziurkę zamka drzwi. Halyna uśmiecha się i wdzięczy, sepleni jeszcze bardziej, niż przedtem. Czy mógłby pan podwieźć mnie do miasta?

Facet, który wreszcie wcelował i otwiera właśnie drzwi maszyny — przygląda się jej uważnie i mówi pijanym głosem — cizia, to jest gablota, nie muzeum, eksponatów nie wożę....

— Nie czekam mimo chęci na koniec tego dialogu, odskakuję od drzwi do środka, byle pozbyć się jej możliwie szybko. Gotowa by tu wrócić i wpraszać się w jakąś kwaterę. Sądzę, że byłaby gotowa w tej chwili spać nawet w stajni, byle z kimś ze sfer filmowych.

— Czego ta kretynka chciała od ciebie? — pyta Reżyser. Domyśliłem się, że trzeba cię wreszcie od niej uwolnić.

— Prawdę mówiąc nie bardzo wiem czego chciała, choć mógłbym przypuszczać, że chciała się wprosić do łóżka. Ale czy tylko o to jej chodziło? Czy może jeszcze coś knuła?

— Uważaj — mówi Reżyser, to jeszcze nie ciotka literatury, ale prawie, z taką nigdy nic nie wiadomo.

— A co, ty chciałbyś wyreżyserować jakąś intrygę?

— Może? Ale nie interesuje mnie ta klasa, toż to prawie rynsztok.

— A gdyby nawet była to ta klasa, to pies jej mordę lizał. Tylko intryguje mnie fakt, że kiedyś tam słyszałem jak Major chwalił ją w rozmowie z kimś z naszej katedry, uświadomiłem sobie to dopiero teraz. I stąd mój niepokój. Ale dostała tu nauczkę?

— Widywałem ją w gorszych sytuacjach, takiej możesz pluć spokojnie w twarz, będzie udawać, że deszcz pada. Wypijmy — Reżyser dolewa mi koniaku i pyta o coś Władzia.

A więc to tak — myślę, to jedna z tych kurew, które buszują w zbożu literatury, słyszałem co nieco o ciotkach literatury, ba obserwowałem najpiękniejszych młodych ludzi, którzy przezwyciężając obrzydzenie — szli z takimi do łóżek, widziałem ich cierpiących w niełaskach ciotek, ich odrzucane książki, które można by uznawać za genialne, widziałem w witrynach księgarń wymuszone cegły młodych ogierów ujeżdżających ciotki. Czyżby i mnie starego konia chciały brać na ten lep? Czyżbym i ja miał być poddawany próbie łóżka przez jakąś odrażającą dziwkę? Jak to dobrze, myślę sobie, że nie znalazłem się w sytuacji autora szukającego protekcji, jak dobrze, że nie napiszę tej książki. Coś śmieje się we mnie, rozprężam ramiona, cieszę się życiem, rozglądam się po sali.

(Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

SIERADZKI PEJZAŻ

14 marca 1977 roku podpisano porozumienie o współpracy kulturalnej między gospodarzami Sieradza a Zarządem Łódzkim ZLP. Otwarto wtedy wystawę „Nasi pisarze i ich książki", a 17 marca w gmachu Biblioteki Wojewódzkiej sześciu pisarzy łódzkich wzięło udział w „Biesiadzie literackiej".

Wspominał o tym I sekretarz KW PZPR w Sieradzu — **Tadeusz Stasiak**, witając gości i przedstawiając program pobytu pisarzy na terenie woj. sieradzkiego.

Dlaczego wybrano Działoszyn, jako miejsce pierwszej konfrontacji? Załoga kombinatu wychodzi naprzeciw wszystkim postulatom i inicjatywom w województwie. Na przykład teraz, kiedy powstaje stanica harcerska nad Wartą ze strzelnicą, torami łuczniczymi, kortami, stadionem i pływalnią, załoga Cementowni wzięła na siebie część prac budowlano-montażowych. Jest jednocześnie kombinat jednym z największych ośrodków przemysłowych regionu.

Za serdeczne powitanie podziękował prezes ŁO ZLP, **Jerzy Wawrzak**, z zadowoleniem komentując fakt, że treść porozumienia nabiera konkretnych kształtów, czego dowodem nie tylko owe spotkanie, ale i ogłoszenie konkursów: literackiego i dziennikarskiego, związanych z Ziemią Sieradzką.

W DROGĘ

Towarzyszą nam: sekretarz KW PZPR, **Jan Dembowski** i wicewojewoda, **Józef Kobiela** oraz dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, **Adam Fudała.**

Sieradzkie po reformie administracyjnej to jedno z najlepiej rozwijających się kulturalnie województw. Zawsze mówiło się o nim: „zagłębie folkloru i sztuki ludowej". Jego świętem jest doroczny Festyn Folkloru Województwa Sieradzkiego. Ale dziś nad rozwojem i upowszechnianiem kultury zarówno amatorskiej, jak i profesjonalnej czuwają specjalnie powołane instytucje z prężnym Wydziałem Kultury i Sztuki UW, Biurem Wystaw Artystycznych, muzeami w Sieradzu i Wieluniu na czele.

14 czerwca 1977 roku odbywała się w Sieradzu sesja naukowa poświęcona zamkowemu wzgórzu w stolicy województwa. W Sieradzkiem aż 25 proc. mieszkańców, to czytelnicy bibliotek publicznych. Około 30 proc. wypożyczeń — to literatura niebeletrystyczna, naukowa. Znaczny jest tu pęd do pogłębiania wiedzy fachowej, szczególnie rolniczej. Województwo ma jedną z najwyższych w kraju średnią wypożyczeń na głowę mieszkańca.

A PO DRODZE MAMY WIELUŃ

Kustoszem czołowej tutaj placówki jest dr **Tadeusz Olejnik.** Od 1964 roku Muzeum Ziemi Wieluńskiej pracuje w dobrych warunkach, choć nie mieszczą się już wszystkie eksponaty. W podziemiu XVII-wiecznego klasztoru **„Wystawa pradziejów Wielunia".**

— **Ambicją jej** — mówi dr T. Olejnik, który oprowadza nas po muzeum — **jest pokazanie dziejów osadnictwa od zarania do dnia dzisiejszego w oparciu o własne wyłącznie wyniki badań.**

Wyjeżdżając z miasta oglądamy odsłaniane właśnie partie gotyckich murów obronnych z czasów Kazimierza Wielkiego. Wokół Starego Miasta powstanie ciąg zieleni, tzw. planty wieluńskie. Nakładem dużych kosztów wykupiono zabudowania prywatnych gospodarstw. Po ich rozbiórce odsłoni się fosę, a w sąsiedztwie Bramy Krakowskiej z 1355 roku zrekonstruowane będą: Barbakan (z przeznaczeniem na Muzeum Pożarnictwa) i baszty: „Męczarnia", „Swawola", „Prochownia" i „Skarbczyk".

PRZED DZIAŁOSZYNEM

Przed Działoszynem, przy drodze pojawiają się tory kolejowe. Z kombinatu 7,5 tys. ton cementu wywozi dziennie 7 pociągów, a 4—5 pociągów przywozi w tym czasie opał i surowiec (głównie łęczyckie łupki). Równocześnie „chodzi" 100 samochodów „Transbudu". 25-tonowe wywrotki muszą z odległych o 2—4 km wyrobisk dowieźć dziennie 12 tys. ton kamienia!

Na schodach biurowca witają nas przedstawiciele kombinatu: dyrektor naczelny, **Zenon Sitko,** sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR — **Kazimierz Maruszewski** i przewodniczący Rady Zakładowej — **Piotr Kiedos.**

W tajniki produkcji wprowadza dyr. Z. Sitko. Dyrektor z najbliższymi współpracownikami mieszka w bezpośrednim sąsiedztwie „białego piekła", w osiedlu awaryjnym. Nie widać jednak, aby któryś z nich zanadto się pyłem przejmował. Nie możemy więc powstrzymać się od pytań o szkodliwość pyłów.

— Pył nie wywołuje chorób płucnych, zawodowych — wyjaśnia dyr. Z. Sitko. **— Najwrażliwszym jednak podrażnia drogi oddechowe. Mamy tu ambulatorium ze stałą kadrą lekarzy i całą aparaturą. W samym Działoszynie zaś nowy ośrodek zdrowia... Dzięki oczyszczalni nie szkodzimy wodom Warty. Gorzej z płodami rolnymi, które owoce mają na wierzchu. Ale produkując wapniak... odkwaszamy glebę. Odszkodowania płacimy Lasom Państwowym, choć nie niszczymy ich w tym stopniu, jak zakłady chemiczne. Gazy, które wypuszcza kombinat, nie są toksyczne. Niemniej dwutlenku węgla jest w powietrzu więcej niż rośliny mogą zasymilować. Cierpią zwłaszcza drzewa iglaste. Ale niszcząc, zarazem odtwarzamy. Jesienią zasadzimy 7 tys. topól, bo drzewo ma duże liście. Zrzucamy na dobę, w promieniu 10 km, 400 ton pyłu i będzie tak do czasu, aż w pełni odbudujemy nasze elektrofiltry. Ale ludziom szkodzi raczej bardziej kurz wzniecany przez samochody na drogach kombinatu. Przydałby się „odkurzacz", niestety, jest niedostępny w kraju...**

„WARTA"

Kombinat Cementowo-Wapienniczy tworzą rozrzucone w promieniu 100 km zakłady: Warta I i II oraz zakład produkcji wapna palonego w Sulejowie. Obie „Warty" położone są na skraju jury wieluńsko-krakowskiej. Surowiec tu już niejednorodny i zanieczyszczony. Starczy go na 30 lat, toteż zakłady nie będą już rozbudowywane.

Dwie cementownie w Działoszynie zatrudniają do 2.800 ludzi, z czego w produkcji pracuje tylko ok. 400. Ale na rzecz kombinatu, łącznie z kooperantami, pracuje w sumie 4 tys. osób. Obie „Warty" produkują dla kraju i na eksport. Cementownie dają produkt atestowany, z gwarancją. Oprócz cementu: kreda techniczna, pastewna, wapniak rolniczy, tj. nawóz do odkwaszania gleb, wapno palone (w Sulejowie), pustaki ścienne (350 tys. sztuk rocznie).

Zwiedzamy „Wartę II", którą uruchomiono 2 lata temu w oparciu o maszyny z bydgoskiego „MAKREMU". 15 lat młodsza „Warta II" ma tylko dwa piece, ale produkuje 2,5 raza więcej niż 4-piecowa „Warta I". W starym zakładzie palacz obserwuje stopień wypalenia klinkieru po kolorze płomieni w nowym zastępuje go sterownia. „Warta I" produkuje 27 ton na godzinę, „Warta II" — 100 ton! W „Warcie II" opala się piece mazutem. Zapewnia to produkt czyściejszy, bez domieszek popiołu węglowego, naturalnego w piecach „Warty I" opalanych węglowym pyłem, niebezpiecznym jako materiał wybuchowy.

Na Wydziale Wypału Klinkieru W-II podwijamy nogawki i wstępujemy z wolna po rozżarzonych schodach, strząsając szary pył. Okulary po paru minutach zakrywa warstewka kurzu. Czy nie stopią mi się na nosie? W piecu temperatura 450 stopni.

Z pieców wypalony i ochłodzony klinkier jako półprodukt cementu miesza się z dodatkiem gipsu i innych składników. Jedzie on podniebnymi transporterami do „termosów" czyli silosów. Tu „leżakuje" przez 3 dni, poddawany różnym próbom. O właściwy skład i atest troszczy się 100-osobowy aż Wydział Kontroli Jakości. Z silosów cement pakuje się do 50-kilogramowych worków i wysyła w świat.

Z pozoru niepokaźny ZDK kryje w sobie świetnie wyposażony gabinet metodyczny i zalążek własnej galerii obrazów (cenne zwłaszcza są efekty pleneru z 1964 roku) i ponad 10 tys. tomów licząca bibliotekę i klubo-kawiarnię. Przez półtorej godziny, w otoczeniu fotografii przodowników pracy i plansz z wykresami „rozwoju produkcji", na wątpliwości i pytania czytelników odpowiadają z erudycją i dowcipem pisarze: **Tadeusz Chróścielewski, Stanisław Kaszyński, Włodzimierz Krzemiński, Karol Obidniak, Edward Szuster i Jerzy Wawrzak.**

MIASTO

Parę kilometrów od kombinatu — Działoszyn. Około 5 tys. mieszkańców. Leży w gminie typowo rolniczej (12 tys. ha), choć gleby tu kiepskie, V—VI kategorii. Jęczmień, żyto, buraki...

W szczerym polu, na 156 działkach, dziesiątki domków jednorodzinnych równocześnie w budowie. Po drugiej stronie szosy 20 bloków mieści 700 rodzin.

W Działoszynie przyciąga wzrok unikalny budynek miejskiej Wagi. Wzdłuż ulic murowane parkany, relikty przedwojennych obyczajów. kościół — jedyny gmach nie zniszczony przez hitlerowców, częściowo renesansowy pałac. Trzy szkoły zawodowe. W sumie uczy się tu prawie 2 tys. młodzieży.

W jednym z zakątków Łuku Załęczańskiego, nad Wartą, przycupnęła w zieleni wioseczka Bobrowniki. Aż dziw pomyśleć, że to zaledwie kilkanaście minut drogi od działoszyńskiego kolosa. Tu gęsi, owce, spokojnie płynie Warta, a przewoźnik, który archaicznym promem przeprawia nas na drugi brzeg, mógłby zapewne dużo ciekawego opowiedzieć... Ciągnie nas jednak na te „kozie górki", jak je tu nazywają, rezerwat Węży, przez pachnącą łąkę i las — aż na wapienne uroczyska na wysokości 200 m nad poziom morza. Stąd rozległy widok na dolinę Warty, górę św. Genowefy, Bobrowniki i lasy Niżankowskie.

Sieradzkie wrażenia zapadły głęboko. Jeśli wypłyną w wierszu, powieści czy reportażu, ale nawet nie dziś, nie jutro, bo może za rok, za dwa, sprawdzi się mądry i dalekowzroczny sens tego spotkania twórców z ludźmi i sprawami Ziemi Sieradzkiej.

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: W. Paryż

REPORTAŻ

TEN, KTÓRY SPRZEDAŁ RETKINIĘ

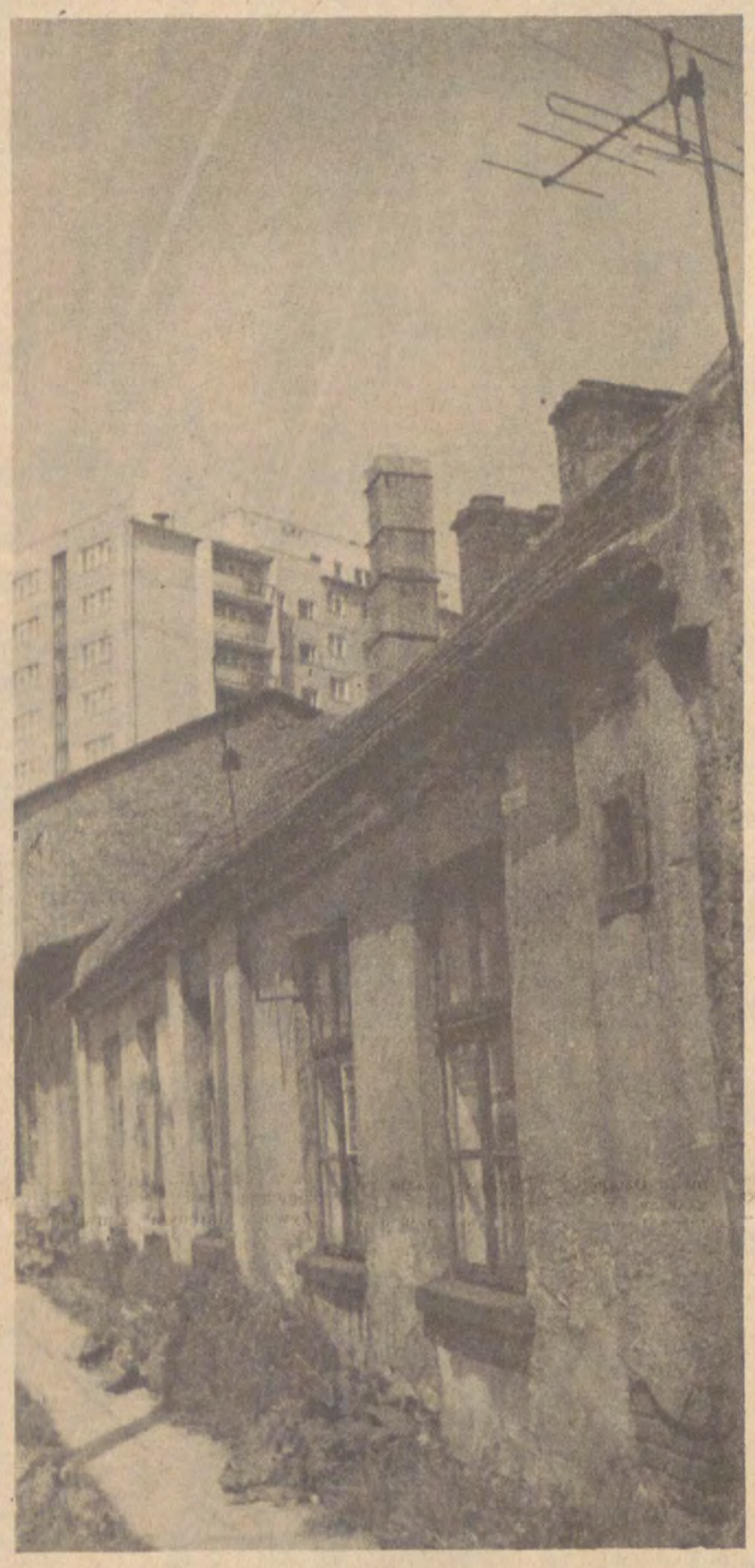

Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

szedł na zebranie, porozmawiałem sobie z Franciszkiem Bombą, starym retkiniakiem.

— Ocalało tu jeszcze, panie szanowny, kilkunastu rolników. Gdzie indziej, tam, gdzie budowa, gdzie wywłaszczają z ziemi, Kółka Rolnicze porozpadały się, a nasze dotąd istnieje. To nasze Kółko zorganizowane zostało w roku 1912 przez uboższych gospodarzy i ma ładne tradycje postępowe. A poza tym jest nam potrzebne. Potrzebne do prowadzenia gospodarstw, ale nie tylko. Jesteśmy po prostu jedną rodziną, jak pan widzi, są tu i nasze żony zorganizowane w Kole Gospodyń Wiejskich, i chcemy istnieć, dopokąd reszta nas stąd nie odejdzie.

Gabryś Plocek? To, proszę pana, nasz człowiek, inżynier ogrodnictwa i sadownictwa, wicedyrektor dużej szkoły, a nie stroni od nas i jest przez nas lubiany. Jego ojciec miał duże zasługi przy budowie Domu Ludowego, to znany przed wojną działacz ludowy, poseł na Sejm, a jakże. A on sam przygrywa na skrzypcach, śpiewa, pisze dla nas różne programy.

Gabriel Plocek jest szczupłym, wysokim mężczyzną, włosy ma już trochę przerzedzone, chodzi jednak krokiem szybkim i sprężystym. Postawę ma wyprostowaną, sztywną, jest w niej i chłopska godność, i chłopska honorność.

— Żona mi mówiła, że pan był u nas i dowiedział się o tym zebraniu. Zaraz tu panu zaśpiewamy coś dla Radia, bo kilka osób nauczyło się tych moich częstochowskich rymów. Szkoda tylko, że nie mam ze sobą skrzypiec, ale przyjechałem tu prosto ze szkoły...

No i nagrałem te retkińskie śpiewy:

„W ruch poszły młoty, poszły koparki,
I ładowacze, i spycharki.
Oj, płacze ojciec, oj, płacze matka,
Gdzie się podziała nasza chatka.
Oj, ta nasza chatka, oj, z ziemią zrównana,
Oj, już ulica Wspólna cała rozebrana.
Hej, rozebrana chatka, wyrwane drzewa, krzoki,
Hej, już mnie wprowadzają w pobliskie nowe bloki.
Hej, będę patrzył z pięter na pobliską Retkinię,
Ze łzami będę patrzył, hej jak Retkinia ginie."

PRADZIAD PANA GABRIELA

Chłop pańszczyźniany, przybył podobno z Mazur. Tam to nazwisko jest pospolite. Najpierw wynajął się do folwarku, potem nabył za ciężko zapracowane pieniądze 6 morgów ziemi w Retkini-Zagrodnikach. Ziemie tu były najsłabsze, więc gospodarze ich się wyzbywali. Nieduże działki kupowali chałupnicy, i tak właśnie powstała ta dzielnica. Ożenił się, a jego żona wydała na świat ośmioro dzieci. Rodzina była szeroka, więc pradziad zaczął dorabiać piekarzeniem, inaczej by jej nie wyżywił. Dziadek miał już tylko troje dzieci, córkę i dwóch synów. Jeden syn zmarł, ten drugi to ojciec pana Gabriela. W Retkini-Brzózkach ziemie były lepsze, w Retkini-Działach najlepsze, były to kmiece wsie, niektórzy żenili się z posażnymi pannami i tak „wychodzili na swoje". A inni szli pracować w fabryce.

— Tak, jak mi dziadek opowiadał — mówi pan Gabriel — **budowano wtedy w Łodzi pierwsze fabryki, były już sale i maszyny, ale nie było ludzi do pracy. Fabrykanci mieli swoich agentów, Żydków i nie-Żydków, którzy chodzili po okolicznych wsiach i werbowali robotników, a nawet całe chłopskie rodziny. Od takiej zwerbowanej rodziny płacono im 15 rubli, a jeśli w rodzinie były dzieci, które ukończyły 14 lat, to dostawali jeszcze po 5 rubli „od łebka". Takim magnesem, który przyciągał ubogich chłopów do fabryki, było też mieszkanie w „familijniakach". Płacili za nie spory czynsz, ale mieli dach nad głową i jakie takie wygody.**

OJCIEC PANA GABRIELA

Franciszek, był od samej młodości człowiekiem uspołecznionym. Dziadek pomagał przy budowie kościoła, na ojca ksiądz patrzył już krzywym okiem. No bo po dziewięćset piątym zaczął kumać się z młodymi łódzkimi robotnikami, chodziły mu po głowie myśli niepodległościowe, to jeszcze ksiądz mógł zrozumieć, ale związał się też z ruchem ludowym, to było już nie do wybaczenia.

Przeszedł też twardą szkołę życia. Zaczął uczyć się w łódzkim gimnazjum, ale go nie ukończył. W rodzinie była bieda, musiał więc zająć się furmanieniem: dowoził cegłę budującym się gospodarzom, dostarczał towary do założonej w Retkini przed pierwszą wojną światową spółdzielni „Społem". W dwa lata po wybuchu wojny powstała w Retkini grupa „zaraniarzy": razem z kolegami siadywał nad wieczorem na polach zagrodnickich, pod lasem, tam mówili o przyszłej Polsce, jaka ona będzie, kiedy odzyska niepodległość. Nucili polskie pieśni — ojciec w ogóle lubił śpiewać, to właśnie po nim odziedziczył tę cechę pan Gabriel.

W roku 1916 powstaje w Retkini tajna komórka POW — jej komendantem został właśnie Franciszek Plocek. Gdy kończyła się wojna, zwerbował połowę wsi i poszli do Łodzi rozbrajać Niemców. W roku 1918 wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie". Założycielami retkińskiego koła tego Stronnictwa byli: Głażewski, Muras, Pycio, Plocek. Chłopska Retkinia sąsiadowała z robotniczym Karolewem — nie mogło to zostać bez wpływu na postawę niektórych chłopów. Ale i robotnicy, zwłaszcza ci pochodzący ze wsi, osiedlali się na Retkini.

— Jak uciułali trochę grosza, to kupowali place w Zagrodnikach. Za 600 złotych można już było dostać ładny plac. Na tych działkach stawiali domki, jak kto mógł. Domki — szumnie to powiedziane. Dziś nazwalibyśmy je daczami. Różnie było z tymi domkami. Plan kosztował 200 złotych, a 100 złotych wynosiła kara za pobudowanie bez planu. Te swoje drewniaki to stawiali tak, że najpierw zwieźli materiał na plac, przygotowali, wymierzyli — nic, tylko złożyć. A składali przeważnie w sobotę. Odpalili coś rewirowemu i umawiali się z nim, żeby do nich chwilowo nie zaglądał. W niedzielę rano, gdzieś około dziewiątej, już się z komina kopci, bo komin to ważna rzecz. Było takie prawo, że jak się paliło w kuchni i z komina kopciło, to rewirowy nie mógł już domku zapieczętować, a tylko spisać protokół i wyznaczyć karę.

W 1928 roku odbywa się w Retkini uroczystość otwarcia Domu Ludowego, w której uczestniczy Tomasz Nocznicki. Franciszek Plocek jest jednym z inicjatorów budowy tego Domu, sam przy jego budowie pracuje. Zarazem jest założycielem i komendantem miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej, przez wiele lat sprawuje funkcję prezesa Kółka Rolniczego. Jest uczynny, powszechnie lubiany i szanowany, zwłaszcza wśród chłopów niezamożnych, których Retkinia liczy sporo. Jako znanego działacza z PSL „Wyzwolenie" kokietują go działacze z PSL „Piast", które skupia bogatszych chłopów i ziemian, ale im nie ulega. Ma jednak potem „chwilę słabości". Nad Polską wieje wówczas duch agraryzmu, który utożsamia się z patriotycznym stosunkiem chłopów do kraju. Franciszek Plocek zawierza tym hasłom, przystaje do BBWR i zostaje z jego ramienia posłem, potem wchodzi nawet do Senatu. Wchodzi w konkurencji z ziemianami, ale fakt pozostaje faktem.

Będzie to miało po wojnie dla pana Gabriela określone skutki. Syn senatora Polski sanacyjnej. Nieważne, że w czasie wojny, przebywając na terenie Lubelszczyzny, działał w Batalionach Chłopskich (był łącznikiem z centralą w Warszawie), że w roku 1944, zaraz po wyzwoleniu Lubelszczyzny, uczestniczył czynnie — już jako nauczyciel — w zorganizowaniu na nowych zasadach szkoły rolniczej w Kijanach, której był absolwentem.

Nie zasklepia się jednak w sobie, nie daje ugruntować się uczuciu goryczy. Gdy w roku 1948 wraca do rodzinnej Retkini, wkrótce wstępuje do koła ZWM „Wici". Rzuca się w wir społecznej roboty, zachęca kolegów z wojska, by szli w jego ślady. Razem z nimi urządza wieczory wspomnień, na których śpiewają żołnierskie i partyzanckie piosenki, wystawiają okolicznościowe komedyjki, uczą się napisanych przez niego aktualnych przyśpiewek, uczestniczą w organizowaniu ludowych dożynek. Retkinia zachowała jednak wiele z dawnej kmiecej wsi. Teraz przylega do niego inne miano: kołchoźnika i komunisty. Ludzie gadają, że jest bardziej święty niż sam papież. A niektóre czynniki podrwiwają znów z niego, że w ten sposób chce zmazać winę ojca.

Ja tam wiedziałem i wiem swoje — mówi Gabriel Plocek. — **Bo działanie jest moją drugą naturą, a tę naturę wziąłem właśnie od ojca. To ojciec, nie kto inny, mówił mi zawsze: zapomnij o sobie, myśl o innych. Wtedy będzie ci łatwiej żyć.**

RODZINA PANA GABRIELA

— A kiedy założył pan swoją rodzinę?

— Blisko 30 lat temu. W przyszłym roku będziemy obchodzić z żoną jubileusz. Moje wesele z Jasią, choć już po ostatniej wojnie, miało wiele wspólnego z dawnymi wiejskimi zwyczajami. Jasia jest córką retkińskiego robociarza, syna rolnika, który miał siedmioro dzieci, klepał biedę i chyba z żałości przepił gospodarkę. Dzieci, kiedy dorosły, poszły pracować w fabryce. Jasia pracowała w zakładach, które teraz noszą imię Waltera. Ale poznaliśmy się w kole ZWM „Wici", którego byłem wtedy przewodniczącym. Razem braliśmy udział w dożynkach w Tuszynie, w Konstantynowie, było to w czasie nawiązywania współpracy miasta ze wsią. Razem pojechaliśmy też na Kongres Jedności Młodzieży do Wrocławia, tyle, że moja przyszła żona jechała tam z Uniwersytetem Ludowym z Brusa, którego była słuchaczką.

Wkrótce też pobraliśmy się. Pracowałem wtedy w Związku Samopomocy Chłopskiej w charakterze instruktora. Odczuwałem jednak brak głębszej wiedzy, zacząłem więc studiować na WSGW w Łodzi na Wydziale Ogrodniczym, ale studia ukończyłem w Olsztynie. W roku 1952 rozpocząłem pracę w Technikum Rolniczym w Czarnocinie, ucząc młodzież ogólnej uprawy ogrodnictwa i sprawując opiekę nad szkolną organizacją młodzieżową. Żona dojeżdżała do mnie z córką, ale gdy urodziła się druga córka, nie mogła już opuszczać domu. Znowu więc wróciłem na Retkinię i w roku 1956 zacząłem pracować w aparacie jako wiceprzewodniczący łódzkiej organizacji ZMW. Byłem odpowiedzialny za oświatę rolniczą. Do tego działałem też w ZSL, więc znów wyjazdy, zebrania nieraz do późnej nocy. A żona ciągle sama z dziećmi. Potem, gdy dzieci już podrosły, znalazła na mnie sposób i sama zaczęła udzielać się społecznie. Jest od dziesięciu lat przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich w sąsiedzkim Rokiciu, członkiem Rady Nadzorczej w GS, przewodniczącą Rady w Spółdzielni Kółek Rolniczych. Więc już nie wymawia mi, że wracam późno ze szkoły, a wróciwszy, zasiadam do nauki. Bo podjąłem zaoczne studia magisterskie na Akademii Rolniczej w Warszawie. Ale jestem już na szczęście na finiszu.

ZACZĘŁA SIĘ BUDOWA

„W wieku ubiegłym szerokim echem odbiła się sprawa retkiniaka, który został skazany na „karę pieprzową" wprawdzie za ucieczkę z więzienia, ale wtrącono go do ciemnicy za to, że nabył dom w Łodzi, co wówczas równało się ucieczce ze wsi".

To cytat z książki Pawła i Leonarda Załusków o Retkini. Minęło sto lat, pęd ludności wiejskiej do miasta stał się jeszcze większy, na Retkini miało powstać osiedle mieszkaniowe, i oto dzieje się rzecz przedziwna. Retkiniacy, a przynajmniej znaczna część starszych gospodarzy, nie chcą opuszczać ziemi. Na spotkaniach władz Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Polesie z retkińskimi rolnikami dochodzi do dramatycznych scen, rozdzierania szat, protestów i burzliwych dyskusji. „Nie pozwolimy! Nie wpuścimy!" — oświadczają ci bardziej zacietrzewieni.

Gabriel Plocek, będący wówczas w zarządzie miejscowego koła ZSL i pełniący funkcję prezesa Kółka Rolniczego jest w szczególnie trudnej sytuacji. On wie dobrze, co to znaczy zżyć się z ziemią, z własnym gospodarstwem — i jak tu teraz tłumaczyć ludziom, że konieczne jest wywłaszczenie z ziemi? Wspólnie z władzami dzielnicowymi, z rozumnym i taktownym Stefanem Majcherczakiem, zastępcą przewodniczącego Dzielnicowej Rady Narodowej ustalają, żeby nie rozjątrzać chłopów i rozpocząć budowę tam, gdzie stoją stare robotnicze dacze — na Wspólnej i na Piaskach. Z robotnikami łatwiej się dogadać. Wspólna ma zresztą ładne tradycje, tam działali Głażewski — syn, Koczaski, Partyka, tam w czasie wojny ukrywał się Mieczysław Moczar, tam wreszcie, na Wspólnej, została zorganizowana retkińska grupa sabotażowa, która z czasem zaczęła odgrywać na terenie okupowanej Łodzi rolę ośrodka kierującego tym ruchem.

Budowa rusza, ale dyskusje nie ustają. Okoliczni chłopi przyglądają się jej z bliska, drażni ich — i słusznie — każdy przejaw niegospodarności. Po uzbrojeniu terenu i założeniu podmurówki zostało sporo cegieł, a potem przyszedł spychacz, zepchnął te cegły do dołu i zasypał ziemią. Widzą, jak walają się worki z cementem, jak wywrotki rozjeżdżają je beztrosko. A dla nich brakowało często cegieł i cementu „Gdzie drwa rąbią, wióry lecą" — powiada przysłowie. Tu rąbią nie drwa, a drzewa, tam, gdzie potrzeba i tam, gdzie nie potrzeba, stare drzewa, których widok tak zrósł się ze starą Retkinią.

Nadchodzi lato 1971 roku, a po nim, zwykłą koleją rzeczy, dożynki. Pan Gabriel zdaje sobie sprawę z tego, że to ostatnie retkińskie dożynki, że będą one pożegnaniem rolniczej Retkini. Sięga znowu po pióro i po rym częstochowski — jak to sam żartobliwie powiada. Najpierw oddaje sprawiedliwość chłopom, ale zaraz potem opiewa budujące się osiedle.

Bardzo to rozjuszyło opornych. Wtedy właśnie o Gabrielu Plocku zaczęto mówić, że to ten, który sprzedał Retkinię. Po tych ostatnich dożynkach pan Gabriel dostał zawału. Lekarze stwierdzili, że to z przepracowania. Czy jednak nie mylili się w swej diagnozie?

SĄSIEDZI

Mówi Jadwiga Rucińska-Borowska jedna z pierwszych mieszkanek osiedla na Retkini, pracownica Miejskiego Biura Projektów, działaczka społeczna, zastępca komendanta terenowej jednostki ORMO:

— W moim bloku mieszka kilku byłych gospodarzy z Retkini. Jednemu wkrótce potem, jak się wprowadził, umarła żona. Więc ci pozostali zaczęli gadać, że to przez tę przeprowadzkę, i że oni też niedługo zemrą. Od tamtego czasu minęło parę lat i wszyscy jakoś żyją. Ten i ów chwali sobie nawet nowe warunki. Współżycie z nimi układa się na ogół dobrze, są chętni do różnych prac społecznych, działa tu chyba tradycja retkińskiej zbiorowości. To oni przede wszystkim zakładają na balkonach skrzynki z kwiatami, a pod balkonami, na parterze, małe ogródki, miniatury tych, które mieli dawniej u siebie. Bo Retkinia była wsią ogrodów. — Wnoszą też sporo radości i humoru. Przenieśli retkiński folklor do bloków, niechby pan zobaczył, jak odbywa się takie półwiejskie wesele, jakie odchodzą wtedy śpiewy i muzyki. Niechby pan się przyjrzał, jak jest im to do życia potrzebne...

ZNÓW U PLOCKÓW

Po roku odwiedziłem znów ich rodowe gniazdo. Typowa wiejska zagroda, parterowy domek podzielony na dwie części (w jednej mieszkają starzy, w drugiej młodzi), stodoła już rozebrana, obora pusta, bo pozbyli się krowy, stajnia, w której stoi koń — podpora odchodzącego gospodarstwa, drewniana przybudówka pełniąca rolę gołębnika, przy której kręci się szesnastoletni syn gospodarzy, szklarnia, obiekt świadczący o ogrodniczych zamiłowaniach pana Gabriela.

— Moje córki wybierają się do bloków, bardzo im tam się spieszy — mówi mi pan Gabriel. — **Ale my z żoną mamy inne plany. Upatrzyliśmy sobie małe gospodarstwo w Ksawerowie, chyba tam się przeniesiemy, będę miał blisko do szkoły. Weźmiemy ze sobą syna, on wdał się we mnie, lubi gospodarkę i chce na niej pracować.**

Uparty człowiek, ten Gabriel Plocek. Stary retkiniak, a był obecny u początków nowej Retkini, zaraz potem działał w pierwszym komitecie osiedlowym. Kiedy zostanie rozwiązane Kółko Rolnicze, bo kiedyś zostanie rozwiązane, a on zamieszka w Ksawerowie — nie zamierza wcale rozstawać się z Retkinią. Chce doprowadzić do zorganizowania Towarzystwa Przyjaciół Retkini, chce powołać tu Klub Rencistów, w którym jego starzy współziomkowie znaleźliby schronienie.

TADEUSZ GICGIER

TEATR

FUTBOL NA SCENIE

Janusz Głowacki wpadł na szatański pomysł, przymierzając znany i niejednokrotnie wypróbowany sposób wypowiadania się o skomplikowanych i powikłanych problemach współczesności, do niewyeksploatowanego jeszcze w sztuce, a najżywotniejszego i poruszającego społeczne emocje przejawu życia opętanego pędem dwudziestego wieku. Zaprosił nas za kulisy wielkiego meczu. Kulisy teatru dziś już nikogo nie interesują. „Bebechy" telewizji i tajemnice techniki filmowej zna prawie każde dziecko. Cóż więc może dzisiaj „chwycić"? Wielki sport, a zwłaszcza futbol.

Za każdymi kulisami działają jacyś ludzie, tworząc precyzyjny mechanizm, dla którego warunkiem trwania są ci na scenie ich zaprogramowane działanie, bowiem ich właśnie oglądają miliony i utożsamiają się z nimi. Mecz piłkarski to najbardziej pasjonujące widowisko dzisiejszej doby, — masowe i dramatyczne, barwne i pełne nieprzewidzianych perypetii, a jednocześnie wielki business, polityka, manipulacja społeczna i psychologiczna. Niewielu jest dziś ludzi, którzy nie pasjonowaliby się rozgrywkami piłkarskimi. I tymi przesłankami niewątpliwie kierował się J. Głowacki proponując **„MECZ"** teatrowi. Oczywiście mecz jako taki odbywa się gdzieś za kulisami teatru, my zaś na scenie obserwujemy ścieranie się interesów i postaw tych ludzi, którzy na meczu wygrywają swoje sprawy poza boiskiem. Zachowanie ich, a nawet byt cały, zdeterminowane jest tym co się dzieje na murawie i to dzianie się powinno być prawie namacalne, dominować nad atmosferą sceny w sposób ledwie zauważalny, a jednak znaczący. To przecież prawdziwe życie z jego wiarami i nieprzewidzianymi nurtami, na które usiłują wypłynąć spryciarze, cwaniacy i politykierzy. Tego żywego pulsu prawdziwego meczu nie odczuwamy na scenie prawie wcale. Może dlatego, że budowany jest on zbyt werbalnymi, lub komiksowo prymitywnymi sposobami. Najbardziej denerwujące we współczesnym teatrze jest udawanie wielkiego działania w maleńkim wymiarze.

Przyzwyczajony do filmowych sposobów budowania drugiego planu, reżyser Janusz Kondratiuk nie może wybrnąć z zastawianych przez teatr pułapek. Nie pomógł tu nawet ustawiony „plecami" do widowni telewizor z wyłączonym dźwiękiem, w którym tylko kilka razy, na krótką chwilę zostaje włączony głos (autentyczny) znakomitego komentatora sportowego, Jana Ciszewskiego. Ten telewizor jest zresztą w wielu wypadkach ostatnią deską ratunku dla aktorów, którym reżyser niezbyt precyzyjnie wyznaczył zadania aktorskie, ci zaś, będąc prawie cały czas na scenie, w polu widzenia publiczności, muszą udawać, że są czymś zajęci. Najlepiej więc, jeśli ciężar prowadzenia sceny spoczywa na koledze, wpatrywać się w tym czasie w ekran telewizora. Proste to, lecz nie zawsze skuteczne.

Na pozór nie skomplikowane tworzywo literackie dostarczone przez J. Głowackiego, okazuje się bardzo trudne w realizacji teatralnej. Tę trudność, wynikającą z kameralizacji gigantu, pogłębia jeszcze zachowanie klasycznej jedności miejsca, czasu i akcji. To wymaga niebywałej precyzji reżyserskiej w pracy z aktorami, aby dojść do w pełni spójnego efektu, co niewątpliwie łatwiej uzyskać w filmie, gdzie dramaturgię można budować operując zbliżeniami, detalami i odpowiednią kompozycją kadru (czego najwspanialszym przykładem był wyświetlany dawno już na naszych ekranach film pt. „Dwunastu gniewnych ludzi"). W przedstawieniu brakuje celnego wypunktowania najistotniejszych point i dramaturgicznych rozwiązań. Na przykład, w ogólnym chaosie finału zupełnie ginie prawdziwa tragedia zawodnika Migonia, który raz wciągnięty w tryby wielkiej machiny, nawet przy największym wysiłku nie jest już w stanie decydować samodzielnie o sobie. Szkoda, że bardzo ciekawie, z sposób prosty i przekonywający zbudowana przez Ryszarda Mroza postać Migonia traci w finałowej scenie całą swą siłę, uzyskaną w dramatycznym spiętrzeniu wypadków.

W tego rodzaju spektaklu, najważniejszą sprawą, decydującą o powodzeniu, jest trafna obsada w ogóle, a już musi być ona bezbłędna w stosunku do protagonistów, którymi są tu obok Migonia, Dziennikarza i Skarbnika, Prezes i Wiceprezes — dwie biegunowe osobowości. Pierwszy — wielki menager, silny i bez skrupułów; drugi — słaby lecz starający się postępować zgodnie ze swym sumieniem działacz, który nigdy nie wywinduje się na fotel „naczelnego", mając nawet za sobą najczystsze intencje.

Aleksander Fogiel, skądinąd wspaniały aktor, jednak ze swą niewątpliwą, bardzo konkretną i dobrze już znaną łódzkiej publiczności charakterystycznością, nie powinien grać roli Prezesa. Nie opuszczając niczego z całego swego arsenału środków, stworzył postać z pogranicza groteski i skeczu, bez koniecznego tu groźnego rysu charakterologicznego. Pokazał człowieka bardziej na miarę prezesa niewielkiej spółdzielni niż europejskiego rekina futbolowych głębin.

W tej sytuacji Bogdan Wiśniewski, jako Wiceprezes i jednocześnie antagonista nie ma równorzędnego partnera, a jego rozterki i kapitulacja, w tym kontekście, wydają się zupełnie nie umotywowane. Nie zważając jednak na przeciwności B. Wiśniewski broni kreowanej postaci, wyposażając ją — nie przerysowanymi środkami — w niezbędną ilość ludzkich odruchów zachowań tworzących spójną całość. Jest to świadome korzystanie z dojrzałego aktorskiego warsztatu.

Jedno w tym wszystkim rysuje się pęknięcie, za które winę ponosi przede wszystkim autor, a za nim reżyser, który nie potrafił tego pęknięcia „zamaskować". Mianowicie tzw. wątek miłosny czy też uczuciowy, jak kto woli, „namotany" grubym drutem między Wiceprezesem a sekretarką Mają (Barbara Szcześniak). Może autor chciał w ten sposób uzasadnić obecność jedynej w spektaklu dziewczyny, ubarwić go jej obecnością, czy też powiększyć wachlarz odcieni charakterologicznych Wiceprezesa? Trudno dociec. Po prostu problem jest sztuczny niczemu nie służy. Odniosłem wrażenie, że Janusz Kondratiuk też nie bardzo wiedział, jak się do niego przymierzyć i wreszcie machnął ręką, zostawiając bezbronną, młodą aktorkę jej własnym siłom, które niestety zawiodły. Pozostał tylko niezaprzeczalny wdzięk i ujmujący uśmiech.

Doskonałą postać, żerującego na splątanym kłębowisku układów i układzików, Dziennikarza, zbudował Tadeusz Sabara. On z tego „interesu" też musi swoje wycisnąć i zrobi wszystko, byle nic nie uronić. Wszyscy zresztą mają tutaj swój udział w futbolowym businessie, począwszy od Prezesa, a skończywszy na Gospodarzu stadionu (świetna, prawie niema rola Mariana Wojtczaka), który przesypia cały mecz przed telewizorem, w oczekiwaniu na swe butelkowe żniwo. Sam mecz się nie liczy. Jest on tylko potrzebny dla wygrania spraw osobistych, a autorowi posłużył jako pretekst do ukazania w sposób „soczewkowy" ludzkich słabości i społecznych mechanizmów walki o władzę i strefy wpływów.

W ukazanych na scenie postaciach można się doszukać pewnych, bardzo konkretnych analogii, można też je zupełnie odrzucić, sięgając do głębszych pokładów analizy psychologicznej i społecznej. Jakkolwiek by spojrzeć na ten „Mecz", nie nastraja on optymistycznie i pogodnie, skoro pośród trzynastu osób dramatu odnajdujemy zaledwie jednego „sprawiedliwego" w postaci zaalkoholizowanego Wiceprezesa. Janusz Głowacki wprowadza nas w przerażający — trochę jakby z Gogola wzięty — świat pogmatwanych układów i zależności, gdzie zasadniczą sprawą jest odpowiedź na pytanie: kto za kim stoi, z kim trzyma i przeciw komu? W przedstawieniu Janusza Kondratiuka zabrakło niestety tego szerokiego, dramatycznego wymiaru i pozostało ono w ramach zwykłej, rodzajowej komedyjki. A szkoda.

Państwowy Teatr Powszechny
„Mecz" Janusza Głowackiego
reżyseria: Janusz Kondratiuk
scenografia: Jan Banucha
Premiera: czerwiec 1977

ANDRZEJ CZERNY

FILM

TRZECIE PODEJŚCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

tolda Leszczyńskiego był namiętnym protestem przeciw unifikacji indywidualności, obyczajom jako reguły ścisłego stosowania, nietolerancji przeciw wszystkiemu, co inne. Film ten pojednał widzów i krytykę: był laureatem krajowych ankiet na najlepszy polski film roku, a także wielu międzynarodowych nagród i wyróżnień festiwalowych, między innymi: Grand Prix Jury Dorosłych i wyróżnienia Jury Młodych na VIII MSF dla Młodzieży w Cannes (1968), I nagrody na XIV MFF w Valladolid, nagrody za najlepszy film i nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Cejlonu na MFF w Colombo (1969) i wyróżnienia na połączonych festiwalach w Adelajde i Auckland (1970).

Po kilku latach oczekiwania na ekrany polskich kin wszedł drugi film Witolda Leszczyńskiego — **„Rewizja osobista"**. I tym razem opinie widzów i krytyków były niezwykle zgodne — bzdet, który jest w stanie wytrącić z równowagi nawet ostrygę. Film zrealizowany na zasadzie półprawd i ćwierćaluzji, anachroniczny w formie, mało ambitny w treści. Ta kolejna pozycja zdumiała entuzjastów Witolda Leszczyńskiego, wiemy, i od dawna, że żaden twórca nie jest taśmowym producentem arcydzieł, że zdarzają się wahania erupcji talentu, że ranga artystyczna utworów rzeczonego autora nie jest równa. Jest to oczywiste, niemniej różnica jakościowa tych dwóch pozycji filmowych była zastanawiająca — tu poziom światowej, tej najwartościowszej produkcji filmowej, obok, równoprawny zakalec o wartości artystycznej zgoła zerowej. Wszystkie te przyczyny sprawiają, że z tym większym zaciekawieniem czekamy na następny, trzeci z kolei film Witolda Leszczyńskiego — **„Ślad magnetyczny"**.

Drugim reżyserem tego filmu jest **Andrzej Wróbel**, twórca zapomnianego już obrazu, zrealizowanego na podstawie secnariusza Centkiewiczów — **„Na białym szlaku"**. Zdjęcia do „Śladu magnetycznego" realizuje znakomity fachman **Maciej Kijowski**, kierownictwo produkcji sprawuje **Roman Kowalski**, a scenografię — dwójka popularnych łódzkich plastyków — **Teresa Klink i Bogdan Kobierski**. Następnie — nazwiska wykonawców głównych ról, a obsada jest, przyznać trzeba, doborowa: **Wojciech Pszoniak, Ryszard Cieślak, Ewa Pokas, Gabriela Kownacka, Zdzisław Wardejn, Hanna Skarżanka, Zdzisław Maklakiewicz, i inni.** Ten trzeci z kolei film Witolda Leszczyńskiego interesuje z jednego jeszcze powodu, otóż jest to rzecz o dość silnych znamionach autobiograficznych — przekopiowania fragmentów poprzednich filmów reżysera, **„Żywota Mateusza"** i **„Rewizji osobistej"**, potwierdzają jeszcze prawdopodobieństwo tych domysłów.

Akcja filmu opowiada historię spotkania dwóch przyjaciół, którzy po latach, już z perspektywy wielu prób i potyczek z życiem, usiłują zbilansować swoje dotychczasowe poczynania; rubryka zysków i strat, i wynikające z tego dramatyczne konsekwencje, oto pierwsza, fabularna warstwa filmu **„Ślad magnetyczny"**. Druga, to głębsza, podskórna, dotykająca sfery filozoficznej i mitologicznej, raz jeszcze podejmuje odwieczny motyw walki artysty z losem, z własnymi niepokojami egzystencjalnymi, narastaniem samoświadomości, dialektyki pasji twórczej i nihilizmu. Jeszcze jedna wersja wątku **„Nietoczki Niezwanowa"** Fiodora Dostojewskiego, który uwikłany w marzenia o doskonałości i sukcesie, latami nie bierze skrzypiec do rąk, żeby raz jeszcze nie stwierdzić, że jest niczym. Póki instrument spoczywa w futerale, zawsze jeszcze pozostaje nadzieja, że jest inaczej. Co na ten temat mówi reżyser, jak widzą swoje role odtwórcy głównych ról?

— Istniały dla mnie dwie możliwości, wziąć partyturę do odtwarzania, albo spróbować robić coś własnego, co jest mi w jakiś sposób bliskie i mogę to odtworzyć z dużym prawdopodobieństwem uzyskania prawdy. Wprawdzie pierwotnym impulsem były tu poniekąd wydarzenia mojego życia, ale już scenariusz pozostawił je dość daleko, tak, że właściwie żadna scena nie jest in extense. Chociaż więc autentyczne wydarzenia były jakąś praprzyczyną filmu, nie chciałbym utożsamiać życiorysu Marka ze swoim.

Mówi odtwórczyni głównej roli kobiecej, Ewa Pokas:

— W filmie Leszczyńskiego gram Marię, kobietę, uwikłaną między dwoma mężczyznami, Markiem i Adamem. Dzieją się tu sprawy ważne, na granicy życia i śmierci, ostre i brutalne, i właśnie Maria, choć dotkliwie urażona w swej miłości, wewnętrznie rozbita i wydawałoby się, rezygnująca z prób uratowania związku emocjonalnego i małżeńskiego, właśnie ona swoją czułością i cierpliwością prezentuje takie cechy osobowości kobiecej, które pozwalają związkowi trwać. Funkcjonować prawidłowo, z nadzieją na życie udane, a nawet szczęśliwe. Z początku miała to być trochę inna dziewczyna, nieco krzykliwa, z szerokim gestem, lekko wulgarna, ale podkreślając tę rolę, zobaczyliśmy ją, w kontekście innych ról, nieco inaczej. Czyściejszą, bardziej krystaliczną, ciepłą, uosabiającą typ prawdziwej, silnej, ale i czułej, wolnej, ale też świadomej stałych, nienaruszalnych zasad moralnych kobiety. Jest to dziewczyna, której uczucia do Marka są dość ambiwalentne, kocha, ale też i nienawidzi, w ostatecznym jednak rozrachunku jest lojalna, gdy w prosektorium pyta — „dlaczego beze mnie?". Nie, nie boję się melodramatyczności i postaram się przedstawić ten problem po prostu, choć z akcentami tragizmu — 30-letnią dziewczynę, uwikłaną w życie, której bardzo nie ułożyło się z najbliższym człowiekiem.

Wojciech Pszoniak, odtwórca głównej roli męskiej — Marka:

— Każda rola, każda scena pisze się w trakcie realizacji, tutaj, w filmie Witolda Leszczyńskiego, scenopis jest także jedynie ogólnym szkicem, wymagającym szczegółowego dopracowania na planie. Na postać Marka próbuję spojrzeć z perspektywy własnych doświadczeń, może nie tyle osobistych, bo koleje życia są zupełnie niepowtarzalne, ale artystycznych, i weryfikować tę postać na planie. Marek jest człowiekiem, zagubionym w paradoksalnej sytuacji — najpierw wielkiego sukcesu, potem pustki i niemożności twórczej realizacji. Odwieczny problem filozoficzny — sensu tworzenia, relacji życia — twórczość, docierania do prawdy o świecie i o sobie, przezwyciężania kryzysów. U ludzi, borykających się naprawdę z problemami istotnymi, takie kryzysy nie są rzadkie. Tu występuje para przyjaciół, a więc poznajemy dwie drogi docierania do celu — i w tych właśnie różnicach spojrzenia, w ich konfrontacji, zarysowuje się konflikt filozoficzny i artystyczny filmu.

Po ukończeniu zdjęć do filmu **„Ślad magnetyczny"** Witolda Leszczyńskiego nastąpi montaż i postsynchrony, premiera spodziewana jest jesienią. Entuzjaści **„Żywota Mateusza"** z uwagą oczekują trzeciej filmowej propozycji Leszczyńskiego.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA

MIESZCZUCHY NA WSI

Jiři Menzel zapisał się w pamięci miłośników kina filmem **„Pociągi pod specjalnym nadzorem"**, komedią, która, łącząc opowieść o okresie dojrzewania młodego chłopca z refleksjami o czasie wojny, o postawach ludzkich i bohaterstwie, w dość zaskakujący sposób przemienia się w tragedię. Następny film Menzla **„Kapryśne lato"** też był przewrotną komedią. Komizm opowieści o marzeniach żyjących w małym miasteczku kilku panów w średnim wieku miał swą drugą, nostalgiczną płaszczyznę, na której to, co wydawało się śmieszne, w istocie, w planie indywidualnych przeżyć było bardzo smutne. Ta szczególna umiejętność przekazu poprzez komediową formę głębokich treści natury społecznej, psychologicznej i moralnej była cechą tzw. szkoły czeskiej, w ramach której powstały dwa przypomniane tu filmy. Przed kilku laty Jiři Menzel zrealizował film **„Kto szuka złotego dna?"**. Obecnie oglądać możemy jego ostatni film **„Na skraju lasu"**. Oba przyniela krytyka jako satyrę na drobnomieszczaństwo, oba nie dorównują jednak mistrzostwu dwu pierwszych filmów, ale sądzę, że mimo to warto chwilę uwagi poświęcić najnowszej propozycji Menzla.

Film **„Na skraju lasu"** pojawił się na naszych ekranach po raz pierwszy w czasie Konfrontacji, po raz wtóry u progu kanikuły. I bardzo dobrze, choć mimo, że film ten to znów komedia, nie służy on tylko wakacyjnej przyjemności. Z kanikułą łączy go temat, który w ostatnich latach stale się ważny i dla naszych rodaków, chociaż południowi sąsiedzi mają w jego materii znacznie większe doświadczenia. Tematem tym jest moda na posiadanie domu, domku czy tylko działki na wsi.

W interpretacji **Jiřego Menzla** marzenia te czy moda nie mają swych źródeł w tęsknocie mieszczuchów do błogosławionego kontaktu z naturą lecz w pragnieniu potwierdzenia swego społecznego statusu. Świadczyć o nim ma głównie posiadanie samochodu i „daczy". Taki styl myślenia i odczuwania reprezentują bohaterowie tego filmu — małżonkowie Lavickowie z Pragi i ich znajomi. Przy pomocy tych ostatnich — posiadaczy „wypoczynkowego" młyna, w którym witają gości przyprószywszy się pierwej mąką (!) — Lavickowie znajdują na wsi amatora sprzedaży swego domku.

Dziadek Komarek zamierza zebrać tego lata plony, sprzedać dobytek i przenieść się zimą do syna do miasta. Lavickowie wynajmują u Komarka pokój, gdzie spędzają całe lato, cierpliwie znosząc dziadkowe przyzwyczajenia i humory. I ta część filmu jest bardzo śmieszna, a ludzie są sympatyczni i zabawni. Menzel ukazuje niezwykłą żywotność i prostolinijność dziadka Komarka i choć widzi ich źródła w stałym obcowaniu ze środowiskiem, nie idealizuje tych spraw. Podobnie przygląda się przybyłym na wieś mieszczuchom. Są jacyś są, ukształtowało ich też środowisko, w którym żyją. Oba te światy mają swoje zalety, lecz pogodzić je ze sobą nie sposób. W scenkach, które mają je charakteryzować, Menzel chowa ostrze satyry, posługuje się raczej łagodną kpiną i humorem, a interesuje go raczej niezwykły klimat wiejskiego życia, wyraża też tęsknotę za prostotą obyczajów i bezpośredniością postaw, prezentowaną przez mieszkańców wsi. One to bowiem na pewno nie są cechą tych, którzy przybyli tu z miasta.

Opowieść nabiera bardziej ostrego rysunku, gdy kończy się lato i okazuje się, że Komarek odwleka sprawę sprzedaży domu. Zima dziadek choruje, a Lavickowie, chyba jednak powodowani ludzkim odruchem, przewożą go do szpitala. Czują jednak i nie rezygnują na wiosnę zjawiają się z notariuszem, by słabiutkiego Komarka zmusić do sprzedaży domu. Ku swemu przerażeniu zastają go zdrowiuteńkiego siejącego ziarno na polu pod lasem. Ich marzenia i zabiegi spełzły na niczym. Są znów tylko... posiadaczami samochodu.

W tej części film traci swą dobrotliwą tonację, ludzie nie tylko są zabawni i pełni słabostek. Mieszczanie zatracili gdzieś odruchy dobroci i szlachetności oraz zdolność do bezinteresownych porywów. Nie stać ich na autentyczność i swoistą mądrość, których to cech nosicielem jest dziadek Komarek. W filmie Menzla najbardziej przewrotne jest jednak to, że choć mieszczanie ze swymi przywarami są dość paskudni, to i postać dziadka Komarka podszyta jest jakimś specyficznym czarnym humorem. W efekcie pozytywy i negatywy obu stron nieco się równoważą, a film ostatecznie daleki jest, w mym odczuciu tonacji ostrej satyry. Jest jeszcze jedna, tak typowa dla czeskiej literatury i filmu, opowieść o smutnej złożoności ludzkiej natury, w której dobro i zło walczą o lepsze. I o tym także, że czasy współczesne odebrały jej jeszcze jedno — szanse na autentyczność.

EWA NURCZYŃSKA

MIĘDZY SŁOWIAŃSKIM GRODZISKIEM, A RZYMSKIM KURHANEM

Za Widawą — droga na Wieluń prowadzi do Rychłocic, gdzie mijamy drewniany kościół z końca XVIII wieku. Potem trzeba skręcić w lewo i już po paru kilometrach wyrasta przed nami Konopnica.

Tutaj zabytki jeszcze starsze. Kościół pauliński, wczesnobarokowy z pierwszej połowy XVII wieku oraz romantyczny dwór z XIX wieku. Ale za wsią jest jeszcze grodzisko z wieku XII i kurhan z okresu rzymskiego czyli gdzieś z II—IV wieku naszej ery. Jest więc Konopnica wsią z przeszłością i z tradycjami.

Nas jednak bardziej interesują obiekty pochodzące z lat siedemdziesiątych XX wieku. W samym centrum Konopnicy Wiejski Dom Kultury zbudowany w czynie społecznym mieszkańców — w roku 1971. Dziś mieści się tu kino oraz Gminny Ośrodek Kultury, kierowany przez absolwenta polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego — **Zbigniewa Adamskiego.**

Młody filolog pracuje tu i działa od roku, ale trafił do wsi o bogatych tradycjach działalności społecznej, oświatowej i kulturalnej.

Obecny wiceprezes GS, **Stanisław Budzik** wiele lat wcześniej rzucił hasło budowy Domu Kultury. Jego matka — dziś emerytowana nauczycielka — zorganizowała tu zespół teatralny, a potem zespół pieśni i tańca.

W krótkim czasie Konopnica zaczęła odnosić sukcesy na krajowej arenie. Zespół teatralny w roku 1974 otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, Zespół Pieśni i Tańca występował na Święcie Młodości w Lesku, na Centralnych Dożynkach, koncertował w Bułgarii...

Potem Stanisław Budzik odszedł do innej pracy i nastąpiły w pracy kulturalno-oświatowej drobne perturbacje. Do Konopnicy przybyli z Łodzi specjaliści — dobrzy fachowcy, ale...

Podjęto na przykład dość szaloną próbę przekształcenia regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca w... Zespół Tańca Nowoczesnego. Intencje były zapewne dobre, ale pomysł nie najlepszy.

Przez rok trwały próby — niestety do koncertów żadnych nie doszło.

I w tej nie najlepszej sytuacji decyduje się objąć Gminny Ośrodek Kultury Zbigniew Adamski. **„Uważam, że podstawową funkcją GOK winno być upowszechnianie wartościowej, profesjonalnej kultury. W sytuacji rozwoju masowych środków przekazu — swego rodzaju „samowystarczalność kulturalna" wsi nie ma większego sensu"** — mówi Zbigniew Adamski.

I rzeczywiście. Nie negując wartości amatorskiej zabawy w teatr — nie zastąpi ona zawodowych spektakli Teatru Ziemi Łódzkiej, występów „Wesołego Autobusu", itp. Tak więc w Konopnicy działalność kulturalna zaczęła się rozwijać w sposób nowoczesny. Co oczywiście nie znaczy, że zrezygnowano z uczestnictwa w kulturze.

Mieszkańcy Konopnicy są dumni na przykład z faktu, że oglądają zeroekranowe filmy jednocześnie z mieszkańcami wielkich miast (już dawno na ekranie kina gościły tu „Trzęsienie ziemi" czy „Płonący wieżowiec"), ale jednocześnie działa koło plastyczne skupiające amatorów. Wystawiają tu swoje prace ludowi artyści jak **Janusz Budzik** czy **Stanisław Nowak** z Szynkielowa, ale jednocześnie w GOK organizuje się wystawy przy współpracy sieradzkiego Biura Wystaw Artystycznych.

Oczywiście istnieje nadal i istnieć będzie Zespół Pieśni i Tańca, nie można bowiem przekreślać ani tradycji tego ruchu w Konopnicy, ani zdobytych już sukcesów. Tak więc blisko czterdziestoosobowa grupa miłośników folkloru nadal pracuje w zespole pod okiem fachowych instruktorów. Myślę, że byłoby dobrze, aby zespół otrzymał jakiegoś patrona — na przykład **Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych w Sieradzu.**

Trzeba zresztą przyznać, że WZKR i obecnie finansuje działalność Zespołu Pieśni i Tańca, ale dopiero całkowity i oficjalny patronat może zmienić sytuację na lepsze. Obecnie — mimo dotacji w wysokości 160 tys. zł kierownictwo GOK ma ręce związane przepisami. Owa dotacja bowiem przeznaczona jest wyłącznie na zakup strojów i instrumentów.

I tu od razu — jak mawiał poeta — „rzeczywistość skrzeczy". Podstawą rozliczenia nie może być przelew, lecz rachunek ze sklepu. A sklepy muzyczne... nie wydają rachunków. Nie sprzedają zresztą — nawiasem mówiąc — także na przelewy. Sytuacja jest więc taka, że prywatny obywatel Kowalski może kupić w państwowym sklepie każdą ilość instrumentów — nie może natomiast w nim kupić Gminny Ośrodek Kultury.

Podobna sprawa jest z kostiumami, choć Zbigniew Adamski ma nadzieję, że uda się tę sprawę załatwić w jednej z placówek Przemysłu Ludowego i Artystycznego.

Gminny Ośrodek Kultury jest na dotacji, ale pieniądze, które są na jego koncie wystarczają zaledwie na uposażenie instruktorów. Poza tym istnieje plan własnych dochodów, co oznacza ni mniej ni więcej tylko konieczność organizowania zabaw tanecznych. Ponieważ Zbigniew Adamski upiera się — i słusznie — przy zabawach bezalkoholowych, trudno spodziewać się większych dochodów z tego tytułu. Pozostaje pomoc Komitetu Przeciwalkoholowego, ale i tu kasa okazuje się uboga, co zresztą osobiście mnie dziwi, bo wiem skądinąd, że tzw. butelkowe ze sprzedaży alkoholu przeznacza się na działalność antyalkoholową. Ale to już „wyższa matematyka" i być może nie rozumiem specyfiki tych — przeprowadzanych centralnie — rozliczeń.

Ale mimo tych kłopotów i trudności działalność GOK w Konopnicy zdecydowanie wyszła z impasu. Na jesień planuje się dla dzieci zajęcia muzyczne, w planie są atrakcyjne wystawy, filmy, spektakle teatralne... W starej Konopnicy osadzonej między jedenastowiecznym grodziskiem słowiańskim a rzymskim kurhanem bije tętno współczesnego życia, pulsuje także działalność kulturalna na miarę nowoczesnej polskiej wsi.

JERZY WILMAŃSKI

Rys. Andrzej Grun

ROŚLINY ZWANE GRZYBAMI

Są ludzie, którym do upadłego i nieustannie można tłumaczyć, że grzyby są roślinami, a oni i tak nie są w stanie tego zrozumieć. A jednak to prawda. Grzyby są roślinami, pozbawionymi — co prawda — zielonych ciałek i rozmnażającymi się za pomocą zarodników. Wraz z bakteriami tworzą osobną grupę organizmów. Jeśli do tego dodać, że są również grzyby żyjące w wodzie, to niektóre niedowiarki kiwają z politowaniem głową i uśmiechają się domyślnie, niby to, że oni się na takie kawały nabrać nie dadzą. Dla nich grzyby, to po prostu grzyby i nic więcej.

Grzyby są roślinami, wokół których nazbierało się dużo i na dodatek bardzo różnych nieporozumień, mitów i przesądów. Co roku dochodzą wiadomości, że gdzieś tam ileś osób zatruło się grzybami. Przestrzega się ludzi przed zbieraniem szczególnie groźnych gatunków, a mimo to ludzie chętnie biegną do lasu, bo zbieranie grzybów jest wielką przyjemnością. Na grzybobranie jeżdżą całe wycieczki. Na grzyby chodzi się w gronie przyjaciół, parami i całymi rodzinami.

Zbieranie grzybów jest przyjemnością, ale zbierać grzyby trzeba umieć. Są ludzie, którzy potrafią znaleźć grzyb nawet przy uczęszczanej leśnej drodze i są tacy, którzy nie potrafią dostrzec dorodnego borowika z odległości pół metra. Jedni zbierają grzyby chodząc po lesie i dokładnie wszystko penetrując i to jest najwłaściwsza metoda. Inni posługują się kijem, ale przy okazji często niszczą leśne poszycie, dlatego też metody tej nie należy polecać. Inni jeszcze zbierają grzyby... stojąc. Staje taki „grzybiarz" na leśnym wzgórku i wzrokiem Napoleona, kierującego wielką bitwą, lustruje dookoła las. Jeśli żadnego grzyba nie zobaczy, idzie dalej, zostawiając piękne okazy tym, którzy uważnie patrzą w dół. Pewien grzybiarz zbierał grzyby na... leżąco. Ale były to **twardzioszki przydrożne** i rosły na dodatek wielką kępą na łące. Metoda leżąca zastosowana w lesie nie dała już żadnych skutków. Przynajmniej temu, wygodnickiemu zbieraczowi. Przynosiła natomiast znakomite rezultaty osobom mu towarzyszącym. Gdzie bowiem ów „grzybiarz" tylko się położył, tam zaraz można było znaleźć kilka pięknych borowików. Okazuje się, że bywają ludzie ślepi na grzyby.

Zbieranie grzybów jest namiętnością podobną do wędkarstwa. Wśród grzybiarzy, tak jak i wśród wędkarzy, krążą wielce przesadzone opowieści, najczęściej o tym, jak to taki grzybiarz wszedł do lasu i nagle patrzy, a tu na polanie rośnie tyle borowików, że tylko kosę brać i kosić. Również i wielkość grzybów rośnie w opowieściach podobnie jak u wędkarzy rośnie długość złowionego szczupaka czy suma. Dlatego człowiek przezorny nigdy nie powinien wierzyć w żadne opowieści grzybiarzy, jeśli nie są poparte dowodem.

Dobry grzybiarz nigdy nie zdradzi miejsca, gdzie znalazł szczególnie piękne okazy. Zapytany w lesie, gdzie zbierał grzyby, zawsze pokaże inną stronę, gdzie indziej pośle konkurentów, bo grzybiarze wiedzą, że warunkiem powodzenia jest znać dobre miejsca. Tu też zachodzi podobieństwo do wędkarstwa. Również rasowy wędkarz nie zdradzi miejsca, gdzie szczególnie udał mu się połów, bo wie, że powinien tam wrócić.

Grzybiarze lubią być podziwiani. Bywają i tacy, którzy przed wyjściem z lasu robią przemeblowanie w koszu, bo grzyby najwygodniej zbierać do kosza, kładąc na spód wszelkie grzybowe „śmiecie", a na sam wierzch co piękniejsze okazy borowików, krawców, kozłarków.

Grzybiarzom, podobnie jak i wędkarzom, zaleca się, aby podziwiali przyrodę, przekonując ich, że zbieranie grzybów czy wędkowanie jest wypoczynkiem, formą relaksu, obcowaniem z naturą. Ale są to opowieści dla początkujących i dla naiwnych. Prawdziwy grzybiarz, ogarnięty namiętnością zbierania grzybów, nie bardzo ma czas na podziwianie piękna przyrody, gdyż cały czas wpatrzony jest w leśne poszycie, wypatrując małych i dużych grzybów. On nawet, gdy usiądzie na chwilę odpoczynku, to uważnie rozgląda się w koło, powodowany nadzieją, że może pod tym kątem dostrzeże gdzieś pod krzaczkiem czerwony łebek krawca, albo żółciutki kapelusik maślaczka. A gdy zamknie zmęczone od wypatrywania oczy, to też widzi tylko... grzyby.

Piszemy o tym, gdyż lato w pełni i pojawiły się grzyby. Piszemy jednak nie z nadzieją, że nauczymy kogoś szukać grzybów, bo każdy ma własną metodę, a jak ktoś jest grzybiarskim beztalenciem, to mu nawet najbardziej światłe rady nie pomogą. Piszemy jednak w przekonaniu, że zwrócimy uwagę na kilka gatunków grzybów, których często się nie zbiera, a które grzybowe atlasy określają jako smaczne i bardzo wartościowe grzyby. Wprawdzie wśród grzybiarzy obowiązuje bardzo słuszna zasada, że **należy zbierać tylko te grzyby, które się dobrze zna**, ale warto też wiedzieć o grzybach więcej i warto stale swoją grzybiarską wiedzę konfrontować ze wskazówkami specjalistów.

Przykładem niech będzie wspomniany już **twardzioszek przydrożny,** zwany też **podróżniczkiem, tańcówką** lub **zawieruszką.** Jest to grzyb mały, rosnący w skupiskach, albo tak zwanych czarcich kołach. Rośnie na pastwiskach, łąkach, w rowach przydrożnych. Ma kapelusz o średnicy od 2 do 5 cm, brunatno-żółty, na cienkim wysokim trzonie. Bardzo smaczny. Nadaje się również do suszenia.

Ludzie chodzący po lesie, często zabawiają się deptaniem **purchawek,** z których po naciśnięciu leci ciemny pył. A tymczasem młode owocniki **purchawki chropowatej,** zwanej też **kurzawką** należą do najbardziej cennych grzybów jadalnych. **Purchawka chropowata** ma kształt gruszkowaty. Jest biała i pokryta kolczastymi kruchymi wyrostkami. Myli się ją często z **tęgoskórem pospolitym,** którego znów niesłusznie nazywa się niekiedy truflą. **Tęgoskór pospolity** jest w środku koloru atramentowego i jest grzybem w większych ilościach trującym.

Jako ciekawostkę możemy przytoczyć fakt, że atlasy grzybowe określają **muchomora czerwonawego** jako... smaczny grzyb jadalny. Wierzymy autorytetom, ale **nie zachęcamy do eksperymentowania,** bo trzeba być wyjątkowym specjalistą, aby odróżnić **muchomora czerwonawego** od **czerwonego,** który jest zdecydowanie trujący. Więc nawet przez myśl nam nie przejdzie zachęcać do zbierania jakichkolwiek muchomorów, natomiast zwracamy uwagę, że **nawet muchomorów nie należy w lesie niszczyć, kopać i przewracać, bo skoro natura je stworzyła, to są one w lesie również potrzebne.**

Wiele nieporozumień wytworzyło się wokół **borowików.** Doświadczeni grzybiarze wiedzą, że **borowiki** dzielą się na: **borowiki ceglastopore, ponure, królewskie, brunatne i szlachetne** i są to wszystko smaczne, bardzo wartościowe grzyby. Natomiast doświadczeni grzybiarze wiedzą również, że są jeszcze: **borowiki grubotrzonowe, szatańskie** i **purpurowe.** I tych na ogół nikt nie zbiera. A tymczasem atlasy grzybowe informują, że na przykład **borowik szatański** jest grzybem trującym ale tylko w stanie surowym lub niedostatecznie ugotowanym. To samo dotyczy **borowika purpurowego. Borowik grubotrzonowy** jest natomiast grzybem gorzkim i niesmacznym, ale nie jest trujący. Jednak i w tym przypadku nie zalecamy zbierania tych grzybów, gdyż eksperymentowanie może odbić się na zdrowiu, jako że z grzybami tego rodzaju trzeba umieć się obchodzić.

Wszystkim, którzy chcieliby pogłębić i rozszerzyć wiedzę o grzybach polecamy, wydany niedawno po raz drugi, **„MAŁY ATLAS GRZYBÓW"**, opracowany przez wybitnego czeskiego mikologa (mikologia nauka o grzybach) dr **Alberta Pilata,** z bardzo dobrymi ilustracjami **Otto Usáka.** Prezent ten dla grzybiarzy zrobiło **Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne.** Książeczka kosztuje wprawdzie drogo, bo 100 złotych, ale powinien w nią zaopatrzyć się każdy, kto uległ namiętności zbierania grzybów i chciałby wiedzieć o nich więcej niż głosi o nich grzybiarska tradycja.

Z książeczki tej można dowiedzieć się między innymi, że do grupy grzybów smacznych lub wręcz doskonałych zaliczają się między innymi takie grzyby jak: **szmaciak gałęziasty, klejówka kleista, majówka wiosenna, łuszczak zmienny,** jak też, że popularne **kozłarze** dzielą się na **żółte, czerwone, pomarańczowo-żółte, grabowe, babki itd.**

Książka oprócz barwnych tablic posiada też skorowidz nazw polskich, które często są nazwami regionalnymi i na przykład grzyb zwany **jakubem** to nic innego jak **maślak pstry,** czyli inaczej **bagniak, murzynek, twardak, ugacz, piasecznik** i **hubanek.** A **borowik ponury,** to inaczej **świniak, śniak, siniak, siniuch, pociec, pociech, podciep, podsiecz, dębiak, poddębnik, gniewos czy gorzkul.**

Wszystkim amatorom zbierania grzybów życzymy obfitych zbiorów, ale nie zdradzimy tajemnicy, gdzie tego roku będą najpiękniejsze okazy, bo sami tam się wybieramy.

B.M.

Rys. J. Szymański-Glanc

U PRZYJACIÓŁ

Odbywające się od 15 lat w poszczególnych republikach Kraju Rad wszechzwiązkowe festiawle filmowe są nie tylko dorocznym przeglądem osiągnięć X Muzy, ale tradycyjnym już świętem zarówno filmowców jak i publiczności. Oprócz konkursowych produkcji, ocenianych przez jury i za pomocą ankiet — przez publiczność, w okresie festiwalu odbywa się wiele spotkań twórców filmowych i aktorów w zakładach pracy, domach kultury itp.

Tegoroczny festiwal w Rydze miał szczególnie uroczysty charakter, odbywał się bowiem w jubileuszowym roku 60-lecia Rewolucji Październikowej.

Stąd też tematyka zaprezentowanych filmów dotyczyła takich problemów jak: walka o ustanowienie władzy radzieckiej w Armenii i Uzbekistanie, bohaterskie dzieje legendarnego dowódcy partyzanckiego Kowpaka, a także poruszała istotne zagadnienia współczesności.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem, o nagrody festiwalowe ubiegały się filmy, które znajdują się już w eksploatacji, a więc odbywa się tu niejako akt ich najwyższej nobilitacji.

Nagroda specjalna i dyplom honorowy przypadł w tym roku filmowi koprodukcji radziecko-fińskiej „Zaufanie". Nawiązuje on do wydarzeń historycznych, do jednego z pierwszych aktów prawnych młodej republiki radzieckiej, dotyczącego niepodległości państwowej Finlandii. Znakomitym odtwórcą roli Włodzimierza Lenina jest w tym filmie Konstantin Ławrow.

W zapełnionej kilkutysięczną publicznością sali ryskiego Pałacu Sportu owacyjnie przyjęto decyzję jury o przyznaniu pierwszej nagrody w kategorii filmów dokumentalnych filmowi „Opowieści o komuniście", poświęconemu życiu i działalności Leonida Breżniewa. Film ten obejrzały już miliony obywateli radzieckich. Spotkał się on także z wielkim zainteresowaniem zagranicy.

Z filmów fabularnych bardzo wysokie lokaty uzyskały dzieła twórców poszczególnych republik związkowych: „Sonata nad jeziorem" — Łotwa, „Drzewko życzeń" — Gruzja, i „Zagubiony dom" — Litwa, a także „Wstąpienie" — Federacja Rosyjska.

Uwagę jury zwrócił także film wyprodukowany przez „Mosfilm" pt. „Głos ma obrona".

☆ ★ ☆

Trwający od dwu lat I Ogólnozwiązkowy Festiwal Amatorskiej Twórczości Artystycznej Ludzi Pracy poświęcony 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej zbliża się do końca. Obecnie w republikach związkowych odbywają się finały poprzedzające ostatni etap festiwalu na szczeblu centralnym.

W imprezach festiwalu uczestniczyły miliony osób rozwijających swe artystyczne zdolności — rzeźbiarze i malarze, kino i fotoamatorzy, muzycy, śpiewacy i, tancerze, reprezentanci wielu innych dziedzin sztuki.

O rozmachu organizacyjnym festiwalu, a jednocześnie o bujnym rozwoju tego nurtu życia kulturalnego w Kraju Rad najlepiej świadczy to, że tylko w Federacji Rosyjskiej uczestniczyło w nim — we wszystkich etapach — ponad 7,5 miliona osób. Potwierdzeniem zaś zainteresowania społeczeństwa ruchem amatorskim jest liczba 200 tys. robotników, kołchoźników, studentów, uczniów, którzy w ciągu tych dwu lat wstąpili do różnych kół artystycznych.

Ostatnio — najlepsi w RFSRR a więc 160 zespołów i 55 solistów zaprezentowali swój kunszt mieszkańcom Moskwy. Występowali oni z koncertami w zakładach pracy i fabrykach, domach kultury, na estradach parków stolicy. Oklaskiwali ich także widzowie w sali koncertowej im. Czajkowskiego oraz na głównej scenie Kraju Rad — w kremlowskim Pałacu Zjazdów.

I Ogólnozwiązkowy Festiwal Amatorskiej Twórczości Artystycznej zakończony zostanie jesienią tego roku.

W finałach wezmą udział najlepsi, którzy zwyciężyli w eliminacjach na szczeblu republikańskim.

W ostatnim czasie w Stanach Zjednoczonych i Zachodniej Europie znów rozlega się głośny jazgot wokół domniemanego zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego. Podobnie jak zawsze, tą całą kampanią propagandową dyrygują liderzy bloku NATO, wspierani przez siły reakcji i militaryzmu. Ta prowokacyjna krzątanina, podporządkowana wojskowo-przemysłowemu kompleksowi krajów kapitalistycznych, przynosi ogromne szkody krajom zachodnioeuropejskim i jest wręcz sprzeczna z postanowieniami Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach. Stwarza ona także zagrożenie dla dalszego rozwoju procesu odprężenia, zarówno na kontynencie europejskim, jak i na całym świecie.

Sukcesy polityki Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych wykazały nieodzowność i jednocześnie możliwość osiągnięcia pokojowego współistnienia oraz spowodowały, iż odprężenie polityczne, przede wszystkim w Europie, stało się ogólną tendencją w stosunkach między państwami o różnych systemach społecznych. Jednakże aktywne siły militarystyczne i odwetowe nie ustają w dążeniu do zaostrzenia sytuacji międzynarodowej i zwiększenia wyścigu zbrojeń. Kierownicze organa NATO — pisze komentator berlińskiej „IPW — Berichte" — prowadzą antysocjalistyczną, a przede wszystkim antyradziecką politykę, szkodliwą dla sprawy rozładowania napięcia międzynarodowego. To właśnie te koła, wykorzystując wszelkie dostępne im środki, próbują wyjałowić najbardziej ważne postanowienia Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach. Wraz z próbami ideologicznej infiltracji i mieszania się do wewnątrzpolitycznych spraw krajów socjalistycznych, zwiększają one przygotowania wojskowe i wyścig zbrojeń, pragnąc osiągnąć wojskową przewagę nad krajami socjalistycznymi.

NATO-wscy stratedzy stawiają sobie za cel modernizację rozmieszczonej Zachodniej Europie broni jądrowej i udoskonalenie mechanizmu jej użycia w celu zadania przeciwnikowi niespodziewanego uderzenia. I w grudniu 1976 roku, i w maju tego roku dowództwo NATO, na konferencjach w Brukseli i w Londynie, wywierało naciski i żądało aktywizacji działań w dziedzinie uzbrojenia i dalszego zwiększania wydatków wojskowych. Czołowi działacze Paktu Północnoatlantyckiego, w ich liczbie były przewodniczący komitetu wojskowego NATO, admirał Norton i zachodnioniemiecki generał Stückle, wezwali niedawno do aktywnego wykorzystywania NATO jako środka „likwidowania sytuacji kryzysowych". W wyniku centralizacji instytucji organizacyjno-technicznych i skoncentrowania pełnomocnictw niezbędnych dla podejmowania decyzji politycznych, w sztabie głównym NATO stworzono już warunki do praktycznego wykorzystania tego planu.

Agresywna koncepcja przechodzi już praktyczne próby. Świadczy o tym cała seria wielkich manewrów NATO. Odbyto 27 lądowych, powietrznych, morskich i sztabowych ćwiczeń na obszarze od Koła Polarnego aż po Morze Śródziemne. Blok Północnoatlantycki chciał zademonstrować swoją muskulaturę. Nawet burżuazyjna prasa RFN musiała przyznać, że manewry miały wyraźnie polityczne cele. Gazeta „Bayernkurier" nazwała je „ćwiczeniami interwencyjnymi".

Ta wojskowa aktywność miała na widoku także cele wewnętrzne: demonstrację siły krajów członkowskich NATO „na froncie wewnętrznym". NATO-wscy generałowie chcieli dać wyraźnie do zrozumienia, że kiedy zajdzie konieczność, ruchy demokratyczne i robotnicze w krajach zachodnioeuropejskich zostaną bezlitośnie zdławione przy pomocy wojska. Że taka groźba jest realna świadczą fakty. Ostatnimi czasy czołowi działacze NATO coraz bardziej uparcie i jawnie żądają od rządów krajów członkowskich Bloku podjęcia kroków przeciwko partiom komunistycznym i robotniczym. Państwowi działacze USA niejednokrotnie próbowali grozić siłom demokratycznym w krajach NATO.

Kierownicze koła USA, Wielkiej Brytanii i RFN, odgrywające wiodącą rolę w Pakcie Północnoatlantyckim, nie zaprzestają prób narzucenia innym państwom NATO wyraźnych zobowiązań ekonomicznych oraz politycznych norm postępowania, które noszą antydemokratyczny charakter, pogarszają warunki socjalne ludzi pracy, ograniczają narodową suwerenność tych krajów. Kiedy na przykład rząd holenderski zamierzał zredukować budżet wojskowy, premier Holandii spotkał się z ostrą krytyką nie tylko ze strony przedstawicieli NATO, lecz także własnego ministra obrony, przebywającego w tym czasie na sesji rady NATO. Minister obrony zagroził premierowi (telefonicznie) dymisją, jeżeli rząd nie wycofa się ze swojej decyzji. W konsekwencji Holandię zmuszono do zwiększenia wydatków wojskowych w granicach miliarda guldenów.

Wojskowo-ekonomicznego potencjału Paktu — na jego umocnienie asygnuje się rocznie około 150 miliardów dolarów — używa się coraz szerzej do zabezpieczenia władzy kapitału monopolistycznego w państwach zachodnioeuropejskich w warunkach zaostrzającej się walki klasowej. Służyły temu celowi, na przykład, manewry NATO pod zakodowaną nazwą „Hileks" i „Winteks", podczas których zsynchronizowano współdziałanie sztabów NATO z miejscowymi organami władzy krajów członkowskich bloku w warunkach „sytuacji wyjątkowej". I tak, NATO-wskie manewry wojskowe „Hileks" przebiegały na podstawie założenia, że w Portugalii, Włoszech i Francji zaistniała groźba „przechwycenia władzy przez komunistów" i zaczynają się „bunty i starcia uliczne".

Wielkie manewry wojskowe przeprowadza się nieraz jako demonstracje siły wobec krajów członków Paktu, w szczególności, gdy w którymś z tych krajów w trakcie walki klasy robotniczej o swoje prawa zarysowuje się groźba dla panowania wielkiego kapitału. Na przykład blok NATO nie przypadkiem przeprowadził w początkach 1975 roku ćwiczenia na morzu u wybrzeży Portugalii. W związku z tym portugalska gazeta „o Seculo" pisała, że ćwiczenia te są „niedopuszczalną próbą mieszania się w wewnętrzne sprawy narodu portugalskiego, i że ich celem jest wzmocnienie sił reakcji". Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak właśnie było.

Przywódcy Bloku starają się nie tylko wywierać wpływ na przebieg wewnątrzpolitycznej walki w krajach członkowskich NATO, lecz próbują także umocnić militarystyczne ugrupowania w krajach zachodnioeuropejskich, by nie dopuścić do umocnienia ruchu robotniczego. Na przykład tzw. programy pomocy wojskowej, realizowane przez wiodące mocarstwa imperialistyczne: USA, Anglię, Francję i RFN, służą z jednej strony zwiększeniu wyścigu zbrojeń, z drugiej zaś rozszerzaniu materialnej bazy reakcji w krajach otrzymujących tę pomoc. W roku budżetowym 1976—77 USA przeznaczyły na te cele 6 miliardów 800 milionów dolarów. Dużą pomoc wojskową okazuje również RFN, głównie Grecji, Turcji, a także Izraelowi i RPA. W ramach tych programów, do krajów otrzymujących pomoc wojskową, wyjeżdżają doradcy wojskowi, instruktorzy i eksperci w zakresie uzbrojenia, zaś oficerów tych militarnie wspomaganych armii wysyła się na specjalne przeszkolenie do głównych krajów NATO. I tak na przykład w okresie od 1950 do 1975 roku Stany Zjednoczone przeszkoliły 449.794 zagranicznych specjalistów w zakresie walki z wrogiem wewnętrznym.

Przywódcy Paktu Północnoatlantyckiego dążą przede wszystkim do udoskonalenia całego mechanizmu prowokacji oraz eskalacji napięcia w Europie przy pomocy NATO, jako instrumentu szantażu, tworzenia konfliktów i działalności dywersyjnej przeciwko państwom socjalistycznym.

JERZY CZECH

NATO

ROZKRĘCANIE SPIRALI ZBROJEŃ

„WOLNA" PRASA W USA

Niezależne gazety są w Ameryce zjawiskiem coraz rzadszym. Wyrastają gigantyczne imperia gazetowe. W ostatnim czasie wiele amerykańskich wydawnictw przeszło w ręce nowych właścicieli, co jest wyraźnym symptomem jednej z podstawowych tendencji w USA: prasa w Stanach Zjednoczonych koncentruje się w rękach coraz mniejszej liczby właścicieli. Gazety, które dotąd znajdowały się w rękach miejscowych wydawców, zostają wchłaniane, jedna po drugiej, przez przybyszów z zewnątrz, którzy traktują swoje nabytki jako najlepszą lokatę kapitałów. Rodzi to w pełni uzasadnione obawy, że grupa królów prasy może wywierać bardzo silny wpływ na kształtowanie opinii publicznej. Amerykańscy dziennikarze nigdy nie są pewni, czy pismo, w którym pracują nie zmieniło już właściciela, bowiem transakcje: sprzedaż — kupno, załatwia się w wielkiej tajemnicy.

Ponieważ w Stanach Zjednoczonych jest już coraz mniej gazet które by warto kupić, właściciele koncernów gazetowych zaczeli sie łączyć, przyśpieszając tym samym proces koncentracji. „Prawie wszystkie gazety przynoszące zyski zostały już pochłonięte przez trusty" — powiedział pewien były znany dziennikarz, który teraz zajmuje się analizą problemów prasy. Jeden z obserwatorów, który bada tendencje ekonomiczne w tej dziedzinie przestrzega iż w przeciągu najbliższych kilku lat cała prasa amerykańska przejdzie w ręce 5—6 wielkich koncernów. Właściciele niezależnych gazet obawiają się, że ich wydawnictwa mają coraz więcej szans, żeby znaleźć się pod kontrolą koncernów gazetowych. Pamiętając czasy, kiedy to magnaci prasowi, w rodzaju Williama Hearsta, robili w amerykańskim dziennikarstwie wszystko co chcieli, ludzie obawiają się, że lokalne gazety stracą indywidualność.

Jaki zatem los czeka niezależne gazety amerykańskie? Kilka słów na ten temat powiedział prezydent koncernu wydawniczego, Hannet Company, Newharth: „Uważam, że gazety, czy grupy gazetowe, znajdujące się dziś w prywatnych rękach, wcześniej czy później znajdą się pod kontrolą koncernów gazetowych". Jeśli Newharth ma rację, w USA nie będzie wkrótce ani jednej gazety tzw. niezależnej.

Nabywcy gazet mają teraz w USA dobrą passę, bowiem coraz więcej właścicieli pism codziennych i tygodników wyraża gotowość do prowadzenia rozmów na temat ich sprzedaży. Wynika to z faktu, iż z roku na rok rosną koszta produkcji gazet oraz podatki od nieruchomości.

(C)

IZRAELSKIE ZBROJENIA

Jedną z ważnych przyczyn wzmagającego się nieustannie wyścigu zbrojeń jest stan napięcia, jaki państwa imperialistyczne utrzymują w różnych rejonach świata. Ewidentnym tego przykładem jest wojownicza polityka Izraela, który mając poparcie imperializmu amerykańskiego sprzeciwia się wszelkim próbom osiągnięcia sprawiedliwego pokoju na Bliskim Wschodzie i systematycznie zwiększa wydatki na zbrojenia.

Jesienią ubiegłego roku, minister obrony Izraela Szimon Peres oświadczył, że straty w uzbrojeniu poniesione przez wojska izraelskie podczas wojny w 1973 r., zostały już w pełni uzupełnione, a dzięki dostawom broni ze Stanów Zjednoczonych, ilość sprzętu wojennego zwiększyła się dwukrotnie w porównaniu do okresu sprzed wybuchu ostatniej wojny.

Prawdą jest, że dostawy broni ze Stanów Zjednoczonych dla Izraela systematycznie rosną, przy czym ich nasilenie przypada na ostatnie lata. W ciągu ostatnich siedmiu lat wartość importu broni ze Stanów Zjednoczonych wyniosła 6,9 mld dolarów, z tego około 4,4 mld przypada po zakończeniu wojny w 1973 r.

Poprzedni prezydent USA Gerald Ford, przed odejściem z Białego Domu zaaprobował nową listę dostaw sprzętu wojskowego do Izraela na rok 1977. Na liście tej znajdują się nowe typy broni, które nie były dotychczas dostarczane temu krajowi. W ramach dostaw Izrael ma otrzymać między innymi rakiety typu „Pershing", które mogą być wyposażone w głowice nuklearne oraz najnowszego typu broń przeciwczołgową. Ponadto uzgodniono, że Izrael otrzyma najnowsze myśliwce F—16, które stanowią obecnie podstawowe wyposażenie lotnictwa NATO. Izrael ma zakupić 409 takich samolotów, wartości 2,3 mld dolarów. Jak wiadomo nowa administracja USA postanowiła wykonać zobowiązania swoich poprzedników rozszerzając nawet niektóre zamówienia.

Przywódcy izraelscy już nie raz dawali do zrozumienia, że dysponują bronią nuklearną. Od wielu lat wiadomo, że Izrael zbudował w Dimona na Pustyni Negew, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Tel Awiwu — tajny ośrodek nuklearny. W ośrodku tym prowadzone są badania nuklearne w celach wojskowych z ukierunkowaniem na produkcję broni ofensywnej.

Prace wstępne nad produkcją broni atomowej zostały zapoczątkowane wkrótce po powstaniu państwa izraelskiego. Pierwsze zasoby uranu izraelczycy uzyskali z miejscowych fosfatów równocześnie opracowali technologię wytwarzania ciężkiej wody. Badaniami atomistów izraelskich, związanych z produkcją broni jądrowej osobiście interesował się pierwszy prezydent tego kraju Chaim Weizmann.

Wydatnej pomocy swoim kolegom z Tel Awiwu udzielili atomiści amerykańscy pochodzenia żydowskiego, łamiąc obowiązujące ich wówczas przepisy tajemnicy służbowej i państwowej. Wkrótce jednak, bo już w 1953 r. izraelscy eksperci zostali oficjalnie dopuszczeni do tajemnic atomowych przez Francję. Umożliwiono im zapoznanie się z programem nuklearnym oraz wzięcie udziału w próbnych wybuchach na Saharze. W 1957 r. w doświadczalnym ośrodku na Pustyni Negew zamontowano pierwszy reaktor atomowy. Poza tym Rada Bezpieczeństwa Narodowego Izraela podjęła decyzję wybudowania zakładów produkcji materiałów rozszczepiających, niezbędnych do skonstruowania bomb jądrowych.

Natomiast w końcu 1968 r. ówczesny minister Obrony — Mosze Dajan przekonał rząd i uzyskał aprobatę na skonstruowanie głowic z ładunkiem nuklearnym. Ocenia się, że Izrael posiada obecnie 13 bomb z głowicami nuklearnymi o sile 20 kiloton każda. Armia izraelska dysponuje również odpowiednimi środkami do przenoszenia broni nuklearnej. Są to myśliwce typu „Kfir" i „Phantom" oraz pociski rakietowe „Jeryho".

Olbrzymie wydatki na zbrojenia oraz militaryzacja całego życia w Izraelu stawiają gospodarkę kraju w trudnej sytuacji. Dlatego też od dziesięciu lat, co roku odbywają się systematycznie w Jerozolimie konferencje ekonomiczne z udziałem 400—500 wielkich finansistów i przemysłowców, pochodzenia żydowskiego z całego świata, głównie jednak ze Stanów Zjednoczonych. Te spotkania przedstawicieli syjonistycznej burżuazji monopolistycznej przynoszą Izraelowi dużą pomoc i ratują jego gospodarkę przed pogłębiającym się kryzysem. O tym jakich rozmiarów jest ta pomoc świadczy fakt, że wynosiła ona ponad 16 mld dolarów do 1974 r. włącznie które w różnej formie zostały przekazane jedynie w Stanach Zjednoczonych. Do tego należy dodać prawdopodobnie drugie tyle przekazanych przez diasporę z Anglii, Francji, Holandii, i innych państw zachodnich i Ameryki Łacińskiej oraz Republiki Południowej Afryki.

Pomimo tak olbrzymich kwot gospodarka Izraela jest bardzo zadłużona. Np. deficyt bilansu płatniczego na rok 1974 osiągnął 4,1 mld dolarów a dług państwowy wynosi 10 mld dolarów. Nic dziwnego zresztą, gdyż wydatki zbrojeniowe pochłaniają ogromne sumy. Izrael wydaje na zbrojenia w przybliżeniu tyle, ile RFN, Anglia, czy Francja. Wraz ze wzrostem wydatków na zbrojenia, obniżane są wydatki Izraela na inne cele — oświatę, opiekę zdrowotną, budownictwo mieszkaniowe itp. Rosną ceny podstawowych artykułów żywnościowych. W latach 1973—1976 ceny mleka, chleba, ryżu, mięsa wzrosły o 360 procent. Przewiduje się również, że liczba bezrobotnych, która wynosiła 47 tys. — w 1976 r. — zwiększy się w roku bieżącym do 60 tys. osób.

Taka jest cena, jaką trzeba płacić za olbrzymie wydatki zbrojeniowe oraz agresywną politykę militarną przywódców izraelskich.

JAN POWAŁA

SPORT

WAŻNE I NIEWAŻNE

Do X Piłkarskich Mistrzostw Świata nie było sprawy. Ludowa mądrość głosi, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Kibicom apetyt też zwiększył się po Mistrzostwach Świata, kiedy to — jak wszyscy miło wspominamy— nasza narodowa drużyna zdobyła srebrny medal i awansowała do rangi trzeciej drużyny piłkarskiej świata. A potem było trochę gorzej. To też pamiętamy, choć wspominamy raczej niemiło. Ale apetyt i ambicje pozostały.

Przed eliminacjami do XI Piłkarskich Mistrzostw Świata kibice byli pełni pesymizmu. Oceniając rzecz realnie, wiadomo było, że właściwie nie ma drużyny. Trzeba było ją dopiero budować. I ten proces się zaczął. Nowy trener polskiej reprezentacji — Jacek Gmoch zaczął budować drużynę z marszu, nie mając na to właściwego czasu. Ale takie są prawa rządzące sportem. Można było zrezygnować z udziału w XI Piłkarskich Mistrzostwach Świata, rozpocząć powolny proces budowy nowego zespołu i wziąć udział dopiero w XII Piłkarskich Mistrzostwach Świata. Tylko, kto zgodziłby się na taki „eksperyment". Pozostało więc jedno: tworzyć zespół nie przerywając gry.

Tu muszę podzielić się jeszcze jedną refleksją. Przed X Mistrzostwami Świata w Piłce Nożnej wysoką rangę miały wszystkie międzypaństwowe spotkania. To się liczyło, bo to był ten poziom, gdzie nasza kadra mogła powalczyć, chociaż nie zawsze zwyciężała. Teraz liczą się punkty w eliminacjach. Mecze międzypaństwowe zostały niejako odsunięte na dalszy plan. Mecz międzypaństwowy można przegrać — tak to niektórzy tłumaczą — chociaż wynik idzie w świat i jest notowany w kronikach. Tak stało się również z dwoma przegranymi meczami w czasie południowoamerykańskich wojaży: z Argentyną i Brazylią. Co by się o tych meczach nie mówiło, jakich argumentów by nie używać, wynik jest faktem. A argumentów używano różnych. Jak to trafnie zauważył Daniel Passent w „Polityce", jeśli mecz wygrywamy, to jest to bardzo ważny mecz, jeśli przegrywamy, to jest mecz zupełnie nieważny. Co prawda, w przypadku meczów z Argentyną i Brazylią zasada ta nie w pełni się sprawdziła, bo dwa mecze wygrane z Boliwią i Peru, wcale nie uznano za mecze ważne, może dlatego, że nie transmitowano je przez telewizję.

Całość południowoamerykańskiej wyprawy już podsumowano i Jacek Gmoch doszedł do wniosku, że dała mu ona więcej niż... 10 lat praktyki. A tu warto też odnotować, że drużyna sama się utrzymywała w Południowej Ameryce i jeszcze przywiozła około 50 tys. dolarów dla PZPN. Ważniejszy jednak od dolarów jest kapitał, jaki mają zamiar wykorzystać szkoleniowcy i lekarze. Co by o południowoamerykańskiej wyprawie nie mówić, jedno jest pewne, że taki wyjazd był potrzebny, bo, jeśli Polska przebrnie przez eliminacje, to przyjdzie jej grać właśnie w Południowej Ameryce i dobrze jest wcześniej wiedzieć, co Polaków tam czeka: warunki klimatyczne, kuchnia, obyczaje na boisku, formy relaksu... Tego nie można zakwestionować.

Ale odpowiedź na pytanie: czy polska reprezentacja będzie grała w Argentynie w 1978 roku? — ciągle jeszcze nie jest do końca znana i to z dwu powodów. Powód pierwszy: — pozostały jeszcze do wygrania mecze rewanżowe z Danią i Portugalią. A wcale nie jest powiedziane, że nasz zespół te mecze wygra. Polacy muszą je wygrać, ale to zupełnie inna sprawa.

Powód drugi: — reprezentacyjnej drużyny ciągle jeszcze nie ma. Jacek Gmoch — podsumowując, bardzo ogólnie zresztą — południowoamerykańską wyprawę, stwierdził, że dopiero w drugiej połowie meczu z Brazylią, czyli już na zakończenie wojażu, narodził się zaczątek nowej drużyny. Ta drużyna musi się jeszcze sprawdzić w zupełnie innych warunkach, właśnie w meczach z Danią i Portugalią. Czy się sprawdzi? Musi się sprawdzić, ale — powtarzam — to zupełnie inna sprawa.

Kibiców zmyliły pozory. Sukces nad Portugalią i Danią był wynikiem dobrego przygotowania na te właśnie mecze, co też jest niebagatelne i co się liczy. Ale to nie były jeszcze występy nowej drużyny, która buduje się powoli w trakcie licznych prób. A jak wiadomo, w trakcie prób i eksperymentów zdarzają się niewypały. Trzeba niewątpliwie wpisać na konto zespołu, kierowanego przez Jacka Gmocha sukcesy, jakimi były zwycięstwa nad Danią i Portugalią, z Cyprem włącznie, które odniesiono przecież w trakcie poszukiwań, w trakcie budowania nowego zespołu. Ale kibic uspokojony tymi sukcesami, żąda dalszych zwycięstw. Nie chce się godzić z myślą, że Polacy mogą przegrywać. A widać mogą, bo przegrywają.

Do Argentyny jeżdżą też inni. Jeżdżą do Południowej Ameryki, przymierzając się do „Mundial 78". I też nie wracają z tarczą, a częściej na tarczy. Europejskie drużyny uczą się południowoamerykańskiego futbolu. Dobrze więc, że Polacy zrobili to samo. I nie ma co naszych porażek osładzać dorabianiem teorii o nieważnych meczach. Wszystkie mecze są ważne. Te przegrane również. Tym bardziej, jeśli umie się wyciągać z porażek właściwe wnioski.

BOGDA MADEJ

LEKTURY NA LATO

Tydzień Piotra Sokala

EUGENIUSZ IWANICKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Kiedy wreszcie przyszedłem do redakcji, Wacek Różański, spotkawszy mnie na korytarzu, zawołał:

— Żyjesz?

— Cóż to, pochowaliście mnie?

— Długo cię nie było. Stary dzwonił na milicję, szukano cię. Nawet sprawdzano w Kazimierzu. Przyznaj się, poderwałeś jakąś licealistkę i uciekliście w Polskę?

— Daj spokój, byłem chory.

— Twoja sprawa. Sprawdzano u tej starej, gdzie wynajmujesz podobno jakąś komórkę, ale też niewiele wiedziała. No idź, idź. Najlepiej od razu do Krawca, może go ułagodzisz.

Wszedłem do pokoju, który zajmowałem wspólnie z Mirkiem Okoniem i stwierdziłem, że wszystko tu jest obce, odpychające, przesiąknięte cudzym, mdłym zapachem. Na moim biurku leżał stos korespondencji, jakieś urzędowe druki, ale wszystko to przestało mnie nagle obchodzić, dotyczyć. Było adresowane do kogoś kto niedawno umarł.

Stanąłem przy oknie i spojrzałem w studnię podwórka. Było jak zawsze ciemne, zasnute parą wydzielającą się z kotłowni. Gdyby stanąć na parapecie i skoczyć w tę biel, rozciąć ją ramionami, rozkroić własnym ciałem i poszybować w nieskończoność miękką i obojętną niczym zdrowy, pokrzepiający sen. Wystarczy zamknąć oczy. Tam, na dole czeka spełnienie ciszy.

— Panie redaktorze, czy pan mnie słyszy?

Sekretarka, siwa, zasuszona staruszka stała w drzwiach i coś mówiła, czego nie rozumiałem pochłonięty obserwacją kłębów pary buchającej z dołu i zaścielającej betonowe podwórko miękką, ruchomą pianą.

— Panie redaktorze!

Odwróciłem się. Musiałem naprawdę wyglądać nieszczególnie skoro siwa pani z macierzyńską troską w głosie powiedziała:

— Zmienił się pan, redaktorze, bardzo mocno się zmienił. Był pan u lekarza?

— Nic mi nie jest, pani Kalino, naprawdę.

— Mnie pan nie oszuka. To coś poważnego?

Zacząłem krążyć po pokoju, by odwrócić jej uwagę od mojej twarzy. Lecz pani Kalina nie rezygnowała.

— Znam się na tym, mój mąż był lekarzem. Ale skoro pan nie ma do mnie zaufania... Zaraz, po co ja przyszłam? Acha, mam coś dla pana, co przywróci dobry nastrój. Proszę — podała mi papier.

„Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa »Lokator« uprzejmie zawiadamia, że zostało obywatelowi przyznane mieszkanie składające się z..."

Doczytałem do końca i złożywszy zawiadomienie, wsunąłem je do kieszeni.

— Dziękuję pani. To na pewno dobra wiadomość. Proszę mi powiedzieć: szukano mnie?

— Jeszcze jak! Dzwoniłam parę razy dziennie na milicję, do szpitali, nawet do Kazimierza. Może mi pan powiedzieć co to było?

Stanąłem przed nią, malutką, niepozorną, o twarzy pomarszczonej przez zastygłe uśmiechy i jak umiałem najspokojniej, powiedziałem:

— Miłość, proszę pani. To była miłość, która nagle umarła. Byłem na pogrzebie.

— Ach! — Zastygła z tym okrzykiem, który mógł wyrażać wszystko: ubolewanie, współczucie, żal.

— A Krawiec? Bardzo się pieklił?

— Więc ona umarła? Taka młoda! Wypadek?

— Wypadek — powiedziałem, czując, że robi mi się duszno w tym pokoju przesyconym zapachem „Amphory", świeżych gazet, pastą do czyszczenia podłóg. — Proszę mi powiedzieć, co mówił Krawiec?

— Parę razy zapytał i na tym koniec. Pan wie jaki on jest.

— Muszę do niego wejść. Chcę mieć to za sobą.

Przeszedłem mały korytarzyk i zapukałem. Nie czekając na zaproszenie, wszedłem do pokoju sekretarza redakcji. Krawiec zajęty rysowaniem makiety nie podniósł nawet głowy, dopiero na dźwięk mego głosu, odłożył miarkę.

— Gdzie pan był? — zapytał spokojnie. — W redakcji, jak w każdej instytucji, obowiązuje dyscyplina.

— Wiem. Niestety, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

— Przynajmniej jest pan szczery.

— Nie mam nic do ukrywania.

— Zastanawialiśmy się, czy pańskiej nieobecności w pracy nie potraktować jako urlopu. Do dwóch tygodni, o które pan prosił, zamierzaliśmy dodać dni, które wykorzystał pan samowolnie. Redaktor Starzec jednakże uważa, że należy wpierw z panem porozmawiać.

— Kiedy ja naprawdę...

— Ponadto nie wykonał pan normy. Lecz w tym przypadku można zastosować właściwe przepisy i na ten czas zdjąć z pana ten obowiązek. Taka była sugestia redaktora naczelnego.

— Proszę mi wierzyć...

— Redakcja, to nie kościół, tu sama wiara niczego nie załatwi. Moja decyzja jest taka: jeszcze w tym miesiącu dwa materiały. Nie jakieś tam sprawozdanka, lecz solidne materiały reporterskie. Co dalej, zobaczymy. Czy się rozumiemy?

— W tym przedmiocie, tak.

— Inne mnie nie interesuja. Dla mnie naczelna sprawa sa „Wiadomości", resztą niech się zajmą kadry. Są pytania?

— Nie mam.

— Do roboty. Wstawiam pana do planu numeru czterdziestego siódmego i czterdziestego ósmego.

Było mi właściwie obojętne, ile reportaży mam napisać w ciągu paru najbliższych tygodni. Nie myślałem ani o pracy ani o odpoczynku. Co dziwniejsze nie myślałem także o Wiśce. Trwałem nadal w otępieniu, choć pomału zaczynałem dostrzegać i rozumieć otaczający mnie świat. Powlokłem się do klubu, gdyż za nic nie chciałem wracać do swojej ciepłej, prymitywnej nory. Gospodyni czuła się w obowiązku informowania mnie o przygotowaniach do ślubu Wiśki. Przychodziła i siadłszy na jedynym taborecie wyliczała, ile czego będzie, jaką suknię pannie młodej szyje Moda Polska, kogo zaprosili i gdzie młodzi zamieszkają po ślubie.

Zamówiłem kawę i usiadłem samotnie w najdalszym kącie, chroniąc się w ten sposób przed natarczywością znajomych. Jednakże dostrzegł mnie Ziutek Paprocki z „Gazety Środkowopolskiej" i już szedł z wyciągniętą ręką, uśmiechnięty, jak zawsze pewny siebie.

— Co słychać? — podsunął papierosy i nie zrażony odmową, ciągnął. — Słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty?

— Czego to ludzie nie wymyślą.

— Fakt. Na ten przykład, jestem wczoraj w sklepie „Veritasu", mają znakomite długopisy, więc wybieram przy ladzie, a tu wchodzi dwóch facetów i jeden wskazując na Chrystusa na krzyżu, pyta ekspedientkę: Co kosztuje ten akrobata?

Ziutek śmiał się, jego ciałem wstrząsały drgawki, w oczach pojawiły się łzy.

— No, sam powiedz, czy to nie dowcipne? Takie zestawienie: symbol okrutnej, odkupicielskiej śmierci na krzyżu i akrobacja?

— Myślę, że był to jakiś dureń.

— Co ty, co ty! Nie chwyciłeś dowcipu? Chłopie, co z tobą ?

Ziutek Paprocki zajmował się redagowaniem kącika rozrywek umysłowych i był znanym ignorantem i prostakiem. Pracę w prasie rozpoczynał od działu sportowego, lecz szybko się spalił, wszedł w układy ze specami od piłki nożnej, w końcu został zamieszany w jakąś aferę i właściwie ledwo się utrzymał. Szybko więc przekwalifikował się i zaczął układać krzyżówki, diagramy, zagadki rysunkowe. Właściwie nie układał, lecz szperał po różnych czasopismach, wypożyczał przedwojenne komplety gazet i umiejętnie adaptował stare teksty do nowej treści. Po paru latach stał się monopolistą w tej dziedzinie i właściwie nie było gazety w mieście, wliczając w to zakładowe, gdzie by Ziutek Paprocki nie umieszczał „swoich" krzyżówek.

— Nie gustuję w tego rodzaju dowcipach — powiedziałem mieszając kawę. — W ogóle nie lubię jeśli coś jest głupie.

— Za dużo wymagasz od życia. Gdybyśmy robiąc gazetę pamiętali jedynie o wunderkindach, nikt by nas nie zechciał czytać.

— Daj spokój, Ziutek, nie nadaję się do tego rodzaju dyskusji. Jestem bardzo zmęczony, może nawet chory. Mam masę swoich problemów, które muszę rozwiązywać. Mówmy lepiej o czymś innym.

— Rzeczywiście, wyglądasz niczym Łazarz przed zmartwychwstaniem.

— Już jestem po tym cudzie. Żyję.

Ziutek uśmiechnął się i nachylając się nad stolikiem nagle powiedział:

— Zapamiętaj sobie nadchodzący rok. Kiedyś będą o nim uczyć na lekcjach historii.

— Jaki rok? — nie zrozumiałem. — O czym mówisz?

— Mówię, żebyś zapamiętał sobie nadchodzący rok, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy.

— Rok jak inne. Dla mnie najgorszy był ten, który mija.

— Człowieku, w jakim świecie żyjesz?

— Więc mów, do diabła, a nie baw się w zagadki.

— Nie, nie, nie! — zaprotestował Ziutek i wstał. — Niczego nie powiedziałem, niczego nie wiem i mnie tu nie było.

Dziwak — pomyślałem. — Dziwak umiejący znakomicie robić pieniądze.

Dopiero teraz przypomniałem sobie o pisemku ze spółdzielni mieszkaniowej. Wyjąłem je i przyczytałem ponownie. W końcu dotarło do mnie, że mam własne mieszkanie, że wystarczy bym pojechał do administracji, a otrzymam klucze. Nawet nie jest to daleko, tuż za śródmieściem. Ogarnięty nagłą chęcią obejrzenia własnego emileśtam, ubrałem się i pojechałem do zarządu spółdzielni. Klucze otrzymałem od razu, gdyż „zasiedlanie" bloku odbyło się dwa tygodnie temu. Trzeba jedynie uregulować sprawy meldunkowe.

Po wyjściu z zarządu poczułem się tak zmęczony, że musiałem na chwilę oprzeć się o budynek, nim zebrałem siły na dalszą drogę. Na szczęście niedaleko był postój taksówek. Podałem adres i przymknąłem oczy. Spać, spać, spać — powtarzałem w duchu. — Bodaj całą dobę. Spać bez dzwonków zegarka, bez śpiewów w rurze kanalizacyjnej, bez dreptania gospodyni. Spać bez czucia i snów, bez marzeń i majaków sennych.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział taksówkarz. — Osiemnaście pięćdziesiąt za kurs.

Staliśmy przed dziesięciopiętrowym budynkiem, pomalowanym w żółte pasy. Przed nami z ciężarówki zdejmowano meble. Dwoje małych dzieci siedziało na miękkich fotelach ustawionych na betonowej podmurówce przed wejściem.

— Wprowadzają się — powiedział taksówkarz. — Nie zazdroszczę. Administracja wyłącza windy i wszystko trzeba tachać na plecach. Pan na którym dostał?

— Na piątym.

— Musi pan poczekać z gratami, aż włączą windę. Chyba, że pan wynajmie.

— Nie mam mebli. Muszę zaczynać od początku.

— To i lepiej. Ci z domów meblowych przywożą pod sam blok. Do czwartego piętra noszą z obowiązku, wyżej trzeba płacić.

— Dziękuję panu.

— Nie ma za co.

Okazało się, że to kilka rodzin naraz usiłuje wnieść meble i tobołki. Ludzie byli zmęczeni, pewnie otrzymali mieszkania na wyższych piętrach. Sądząc po tym, co przywieźli, musieli mieszkać na dalekich peryferiach, w starych domach, mieli pewnie własne komórki i szopy. Wśród starych, potężnych małżeńskich łóżek stały klatki z królikami, długie, rozsuwane stoły z rzeźbionymi nogami, trzydrzwiowe szafy. Przecisnąłem się z trudem przez zastawione wejście, lecz nie mogłem wejść na schody. Właśnie kilku mężczyzn dźwigało tapczan, z tych nieskładanych, szerokich, mających solidną skrzynię. Najgorzej było na zakrętach: tapczan nie mieścił się na płasko i trzeba było go każdorazowo przewracać.

— Pomóż pan! — krzyknął jeden z tych, co podpierali z dołu.

Podparłem ramieniem skrzynię, lecz moje nogi nie miały siły. Były zupełnie miękkie, zachwiałem się i o mały włos nie poleciałem do tyłu.

— Zostaw go — powiedział inny, ocierając wierzchem dłoni czoło. — Nie widzisz, że człowiek ledwo trzyma się na nogach.

— Opijałeś pan przydział? — uśmiechnął się ten, który zagadał do mnie pierwszy. — Słusznie, tego nie należy odkładać.

— Dziękujemy. Niech pan trzyma się poręczy.

Nie chciałem niczego tłumaczyć. Czyż nie wszystko jedno, co jest przyczyną mojej słabości?

Ciężko dysząc, dotarłem w końcu na swoje piętro i odszukawszy numer mieszkania wsunąłem klucz do zamka. Czułem jak pod naciskiem przesuwają się piórka w mechanizmie i jak drzwi ustępują pod moją ręką.

W mieszkaniu pachniało wapnem, świeżym parkietem i olejną farbą.

Chwilę stałem wodząc wzrokiem po gołych ścianach, w końcu położyłem kożuch na środku pokoju, rozciągnąłem się na nim jak długi i natychmiast zasnąłem.

(cdn.)

SPORT 1976

Ta sama para autorów — Zbigniew Chmielewski i Ryszard Żochowski, ten sam tytuł: „Kalejdoskop. Sport", ten sam wydawca — Krajowa Agencja Wydawnicza, czyli trzecia już, kolejna książka będąca przeglądem najciekawszych i najważniejszych wydarzeń sportowych. Tym razem tych, które emocjonowały kibiców w roku 1976. Układ tego sportowego kalejdoskopu jest bardzo przejrzysty: kolejne miesiące 1976 roku, a w nich przegląd wyników osiągniętych w poszczególnych dyscyplinach sportu. Kalejdoskop uwzględnia wszystkie najważniejsze sportowe wydarzenia, jakie miały miejsce na świecie, w Europie i oczywiście w krajowych zawodach.

Kibicom sportowym nie potrzeba przypominać, że rok 1976 był rokiem olimpijskim. Emocjonowaliśmy się wówczas występami naszych lekkoatletów, bokserów, piłkarzy, do świtu trzymały nas w potwornym napięciu mecze siatkarzy. „Kalejdoskop — Sport 1976" uwzględnia również całą letnią olimpiadę w Montrealu, a także Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Innsbrucku. Znajdziemy tu również sylwetki „sportowców miesiąca", wybieranych przez czytelników „Przeglądu Sportowego".

Książka jest bogato ilustrowana zdjęciami i karykaturami. Wytrawnych kibiców chyba nie potrzeba zachęcać do jej zakupu.

Zbigniem Chmielewski, Ryszard Żochowski — „Kalejdoskop — Sport 1976". Krajowa Agencja Wydawnicza, W-wa 1977, str. 431, cena zł 50.

KARTKI Z PODRÓŻY

„Spędziwszy kilkadziesiąt lat życia na swojej ziemi, myślą zaledwie wybiegając poza jej granice, przyszło i mnie nareście, z wędrownymi ptakami, które co roku odlatują do nas w cieplejsze kraje, pójść własnymi oglądać oczyma te cuda, których opowiadaniem karmiłem się od dzieciństwa. Wiodła, nie tyle rzeczy i spraw ludzkich, wszędzie mniej więcej jednych, ciekawość, ile chęć sprawdzenia tego, co ludzie napisali o cudach obcych krajów. U nas szczególniej nasłuchać się było można do przesytu uwielbień tego, co obce, z pogardą dla tego, co swoje, zarówno uniesienia, jak krytykę pragnąłem z własnymi porównać wrażeniami, aby się nauczyć, o ile one się godzą z tym, co uświęcone i przyjęte, co się stało pewnikiem, o czym nie godzi się wątpić nikomu, co każdy opis podróży powtarza nie śmiejąc naruszyć, nie ważąc się już rozbierać".

Tak zaczyna Józef Ignacy Kraszewski swoje „Kartki z podróży". Jest to relacja z podróży popularnego pisarza, do Włoch, Francji i Niemiec. Trasa wiodła przez Kraków, Wiedeń, Wenecję, Padwę, Mediolan, Genuę, Pizę, Florencję, Rzym, Neapol, Marsylię, Tulon, Paryż, Brukselę, Kolonię, Frankfurt, Drezno, Lipsk i Berlin.

Znamy doskonale powieści J. I. Kraszewskiego, natomiast zapewne niewielu czytelników zna tę część jego twórczości, którą można określić mianem pamiętnikarsko-reporterską. Taki właśnie charakter mają „Kartki z podróży", w których szczególnie wiele miejsca pisarz poświęcił dziełom sztuki. Choćby tylko dla tej przyczyny „Kartki z podróży" będą aktualnie i dzisiaj.

Książka, opublikowana przez Państwowy Instytut Wydawniczy, jest pierwszą z cyklu „Podróże". Redaguje ten cykl Paweł Hertz.

Józef Ignacy Kraszewski — „Kartki z podróży", PIW, W-wa 1977, t. I/II, cena zł 250.—

ŻYWOT MODRZEJEWSKIEJ

„Był to gołąb o orlich skrzydłach" — tak określił Helenę Modrzejewską w kilka lat po jej śmierci Henryk Sienkiewicz, który doskonale znał i rozumiał wielką polską aktorkę. Wśród miłośników teatru pamięć o niej jest żywa do dziś, toteż dobrze się stało, że Państwowy Instytut Wydawniczy zdecydował się wznowić książkę wybitnego historyka teatru — Józefa Szczublewskiego pt. „Żywot Modrzejewskiej". Książka opisuje jej życie od wczesnego dzieciństwa aż po kres. Napisana jak kalendarium, ściśle udokumentowana, żywa w stylu jest pasjonującą lekturą, która przedstawia Modrzejewską — aktorkę, słynną nie tylko na naszym kontynencie. Z kart książki Szczublewskiego wyłania się piękna, obdarzona wielkim talentem i urokiem osobistym gwiazda, ale również przede wszystkim kobieta o żelaznej woli, wytrwałości, maksymalnych wymaganiach wobec siebie i swojej sztuki, która sławę zdobyła dzięki ogromnej, żmudnej pracy.

Książka Józefa Szczublewskiego ukazała się w serii PIW „Żywoty", w której tegoż autora ukazały się do tej pory dwa nakłady, już wyczerpane, książki „Żywot Osterwy" oraz Zofii Jasińskiej „Żywot Kamińskiego". W przygotowaniu natomiast znajdują się pozycje poświęcone Jaraczowi, Słowackiemu, Moniuszce, Solskiemu, Leonowi Schillerowi i innym.

Józef Szczublewski — „Żywot Modrzejewskiej", PIW, W-wa 1977, str. 724, cena zł 150,—

OKIEM PRZECHODNIA

Marcin Czerwiński — wybitny socjolog i publicysta — od dawna interesuje się zmianami obyczajowymi w naszym społeczeństwie a także rozwojem miast i ich rolą kulturotwórczą. W 1974 roku opublikował książkę pt. „Życie po miejsku". Ponieważ — jak sam stwierdza — problemy urbanistyki nie schodziły z łamów pism nie tylko fachowych, ale również kulturalnych i społecznych, co świadczy o społecznym zainteresowaniu, przeto dalej zajmował się rozwojem miast, urbanistyką, a rezultaty tego zainteresowania zebrał i opublikował w książce pt.: „Okiem przechodnia".

„Budowanie miast — pisze M. Czerwiński — jest sztuką. ...Budowanie miast jest jednak równocześnie częścią życia społeczno-ekonomicznego. Zależy też od technicznego uzbrojenia. Nie dokona się tu nic (przynajmniej na większą skalę), co sprzeciwia się ogólnym możliwościom, co nie ma za sobą realnych sił zawartych w owym życiu".

Autora interesują procesy składające się na kształtowanie osiedli, centrów miejskich, interesują go problemy estetyczne uzewnętrzniające się w procesach tworzenia się miast. A na te wszystkie sprawy stara się patrzec okiem przechodnia, nie pretendując do autorytatywności swoich sądów i refleksji. Jego książka jest więc „przeglądem zagadnień", zbiorem refleksji na tematy żywo nas wszystkich interesujące.

Marcin Czerwiński — „Okiem przechodnia", PWN, W-wa 1977, str. 126, cena zł 20,—

WARTO PRZECZYTAĆ

J. Kawalec — „Ziemi przypisany", WL, cena zł 40,—
A. Kuśniewicz — „W drodze do Koryntu" WL, cena zł 45,—
M. Rożek — „Groby królewskie", WL, cena zł 45,—
J. Lechoń — „Listy do Anny", Czytelnik, cena zł 50,—
B. Ożóg — „Elegia weselna", MON, cena zł 15,—
Arystoteles — „Etyka wielka", PWN, cena zł 60,—
W. Carther — „Drzewo białej morwy", KiW, cena zł 12,—
J. Siwkowska — „Kochanek Justyny w Warszawie", KiW, cena zł 100,—
I. Andrić — „Opowiadania", WL, cena zł 20,—
J. Kawalec — „Oset", PIW, cena zł 25,—
M. Druon — „Trucizna królewska", WL, cena zł 28,—
ńź:l,szfcałokształtrszaaW—eudcoolenjażb.ańsęźlzz

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

NIEZWYKŁY CHOROMAŃSKI

Pięć lat temu zmarł **Michał Choromański**, jeden z najbardziej fascynujących pisarzy współczesnych i wydawało się, że wraz z tą śmiercią skończył się pewien znaczący rozdział w polskiej literaturze. Wkrótce potem okazało się jednak, że w papierach pośmiertnych została powieść „Miłosny atlas anatomiczny" oraz jakby dojrzały do wydania „Memuary" pisane na doraźny użytek dla „Przekroju".

Dwie zatem książki dał nam Choromański po swojej śmierci i to obie fascynujące właśnie swoją niepełnością, niedopowiedzeniem, powtarzaniem wątków... W „Memuarach" na przykład znajdujemy motywy, później przetworzone w innych utworach. Te dwie pośmiertne książki wybitnego pisarza uzupełniają jego poprzednią twórczość, w pewnej mierze są nawet kluczem do niektórych spraw.

Natomiast swego rodzaju zamknięciem, a może raczej tylko podsumowaniem (bo przecież coś jeszcze zostało w spuściźnie po Choromańskim) jest znakomita wręcz książka **Seweryny Wysłouch „Proza Michała Choromańskiego"**.

Ta świetna praca ukazała się w serii rozpraw literackich PAN-owskiego Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej, w nakładzie dziesięciokrotnie mniejszym niż przeciętne nakłady książek Choromańskiego. Jest to oczywiście naturalne, bo chodzi o pracę naukową, a nie o story biograficzną. Sygnalizuję jednak tę rozprawę, sądzę bowiem, że wielu miłośników pisarstwa Choromańskiego zechce do niej sięgnąć. Zaręczam, że warto.

Warto więc zajrzeć do księgarni na zakurzone, rzadko penetrowane półki z napisem „nauka o literaturze". Nawiasem mówiąc na tych zakurzonych półkach znaleźć można rarytasy znakomite, książki o „fabule" daleko atrakcyjniejszej, niż niektóre „nowości prozy". Znaleźć tam można **Tadeusza Mikulskiego „Miniatury krytyczne"** czy **Juliana Krzyżanowskiego „Paralele"**.

Wróćmy jednak do książki Seweryny Wysłouch, opowiadającej o niezwykłej twórczości niezwykłego pisarza: Był to bowiem człowiek w istocie niezwyczajny. Urodził się w Elizawetgradzie w roku 1904, do Polski wrócił jako dwudziestoletni młodzieniec. Nie znał kraju, nie znał... języka polskiego. I oto mamy fenomen. Debiutuje powieścią „Biali bracia" w siedem lat po powrocie, w roku 1931. Dla porównania podajmy, że jego rówieśnik spod Kalisza, **Witold Gombrowicz**, debiutował później o dwa lata, że inny jego rówieśnik, **Tadeusz Breza**, debiutuje pięć lat później.

Jak sam Choromański wyznaje, w roku 1929 przeżył ciężki kryzys psychiczny, ponieważ przestał władać językiem rosyjskim, a nie władał jeszcze polskim. Na dodatek był ciężko chory — gruźlica skazała go na długie wędrówki po szpitalach i sanatoriach Warszawy, Druskiennik i Zakopanego.

A jednak w trzy lata po „Białych braciach" powstaje powieść **„Zazdrość i medycyna"**, zaskakująca do dziś mistrzostwem operowania polszczyzną, umiejętnością wydobywania ze słów znaczeń i nastrojów fascynujących swoją oryginalnością.

A potem ten niezwykły człowiek, który potrafił zmienić język dzieciństwa i młodości... nie może się zaadaptować na emigracji. Wędruje przez Włochy, Francję, Brazylię, Kanadę, aby wreszcie wrócić do Polski w roku 1957. Na emigracji nie pisze. Ani po polsku ani w innym języku. Wyszła co prawda w Montrealu (1942) francuska wersja jednej z jego sztuk, ale czy Choromański jest tej wersji autorem?

Ostatnie czternaście lat życia w Warszawie, w izolacji od środowiska literackiego przynosi czternaście dużych tomów prozy. W wieku 66 lat wraca do wierszy lirycznych. W papierach pośmiertnych pozostał osobliwy notatnik poetycki zawierający 80 czterowierszy o tematyce okupacyjnej.

Piszę: „wraca do wierszy". Tak jest, bowiem ten wybitny prozaik, będąc w Rosji, zaczynał od poezji. W języku rosyjskim napisał przeszło... tysiąc utworów oraz „Powieść o muzyce" — dotąd na polski nie przetłumaczoną, poza niewielkim fragmentem drukowanym rok temu, w „Przekroju". Potem, w roku 1931, publikował wiersze po polsku oraz... tłumaczył poetów polskich na rosyjski. M. in. przełożył „Laur olimpijski" Kazimierza Wierzyńskiego.

Niezwykła, fascynująca osobowość, niezwykłe pisarstwo, mogące być terenem rozległych badań. Książka Seweryny Wysłouch jest podsumowaniem tego, co dziś wiemy o Choromańskim, ale jest także wskazaniem w kierunku dalszych badań nad tą niezwykłą twórczością niezwykłego pisarza.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ARTYKUŁ 57

Summum ius summa iniuria — mawiali starożytni Rzymianie, czyli: najlepsze prawo może być największą niesprawiedliwością. Nie chcemy tu sięgać po mocne i wielkie słowa, ale nie przeczymy, że trochę nas pasja trzęsie, kiedy dowiadujemy się o niektórych prawach, osaczających nas zewsząd, zamiast ze wszystkich stron bronić.

Oto **„Prawo i Życie"** opisuje wypadek niedoręczenia przez pocztę depeszy w odpowiednim terminie, co spowodowało wymierne i oczywiste straty u klienta. Wytoczoną poczcie sprawę klient przegrał we wszystkich instancjach sądowych, albowiem — uwaga! — okazało się, że istnieje Ustawa o łączności z 1961 roku, która w artykule 57 stanowi:

„Odpowiedzialność PPTT za opóźnione doręczenie ekspresowych przesyłek i przekazów pocztowych oraz za niewykonanie lub nienależyte wykonanie usług związanych z eksploatacją sieci telefonicznej, telegraficznej i radiofonii przewodowej ogranicza się do zwrotu opłat lub części opłat według zasad ustalonych przez ministra łączności w drodze zarządzenia".

Fantastyczny przepis! Toż na jego mocy Poczta stała się jeszcze jednym przedsiębiorstwem, działającym bez najmniejszego ryzyka... Nikt oprócz klienta nie jest zainteresowany należytym wykonaniem usługi pocztowej. Jeśli usługa się przypadkiem uda — poczta inkasuje należność. Jeśli się nie uda — zwraca opłatę pocztową i sprawę uważa za niebyłą, a jeszcze zanim zwróci, każe składać klientowi różne dowody i odczekiwać miesiącami. Niebywała historia! Działalność, za którą nie bierze się żadnej odpowiedzialności!

Wyobraźcie sobie, że w wyniku oczywistego i udowodnionego niedbalstwa Miejskich Zakładów Komunikacyjnych wykoleił się tramwaj i pasażer stracił nogę. Było to nienależyte wykonanie usługi przewozowej, bo pasażer zapłacił za dowiezienie go w odpowiednie miejsce, a nie za tracenie nóg. MZK uznają swoją winę i zwracają pasażerowi złotówkę za bilet, oczywiście jeśli udowodni, że nie jest rencistą i nie korzysta ze zniżki, bo wtedy MZK zwracają 50 groszy. Ściśle według ustawy, gdyby istniała taka jak w odniesieniu do poczty.

Wyobraźcie sobie, że wysoki urzędnik pocztowy powierza krawcowi drogi materiał, zlecając usługę uszycia miarowego ubrania i płacąc zaliczkę. Krawiec urżnął się, spartaczył sprawę, pociął materiał i zwrócił strzępki klientowi wraz z zaliczką i z grzecznym uśmiechem: ograniczył się do zwrotu opłaty za nie wykonaną usługę. Niech się pan wysoki urzędnik nie zżyma, analogia do artykułu 57 Ustawy z 1961 roku jest absolutna!

Wyobraźcie sobie, że funkcjonariusz przy jakimś kolejowym rozrządzie wynagradzany jest za każde przesunięcie zwrotnicy, a wynagrodzenie to wynosi 10 złotych. Praca przecież niewielka. Raz nie przesunął i zderzyły się pociągi. Funkcjonariuszowi nie zapłacono dziesięciu złotych i sprawa załatwiona. Czy artykuł 57 nie stawia całej prześwietnej poczty w sytuacji owego funkcjonariusza? Odpowiedzialnego tylko za powierzchowne gesty, a nie za ich merytoryczny sens i znaczenie? Doręczę telegram to dobrze, a nie doręczę — to zwróce trzydzieści złotych. Cóż stąd, że od tego telegramu zależy być może ludzkie życie albo inne wielkie wartości?

Autor artykułu w **„Prawie i Życiu"**, opisujący sprawę spóźnionej depeszy, stwierdza melancholijnie:

„Oto pozorna równość stron zawierających umowę o doręczenie listu, telegramu, czy innej przesyłki zdemistyfikowała się w sposób nie budzący wątpliwości. Okazało się, że partnerzy są wprawdzie równi, niemniej jeden z nich jest równiejszym".

I co? I na tym żałosnym westchnieniu kończymy sprawę? I wszystko zostało jak było? Przecież to horrendalna rzecz, horrendalny przepis! Co będzie, kiedy wszystkie wielkie i silne instytucje przyjmą analogiczne zasady odpowiedzialności, a mamy powód przypuszczać (nie znając przecież wszystkich ustaw i przepisów idących w setki tysięcy), że już przyjęły? Że każda z nich jest zawsze równiejsza od nędznego klienciny, zawsze ma rację (instytucja, nie klient!), zawsze ma nas w nosie.

Pomyłki i nieporozumienia mogą się oczywiście zdarzyć wszędzie. Ale na litość boską — nie mogą być kwitowane zwyczajnym umyciem rąk! Myjąc ręce, nigdy nie doprowadzimy nie tylko do maksimum, ale nawet do minimum staranności przy wykonywaniu czegokolwiek.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

PEŁNIA SEZONU

Miałem już okazję pisać o tym, że w kraju naszym nie możemy zupełnie narzekać na brak festiwali. Ledwie bowiem przebrzmiały echa festiwalu w Opolu, a już rozlega się sygnał następnego — żołnierskiego w Kołobrzegu. Ledwie ucichną echa festiwalu w Kołobrzegu, a zacznie się ten w Sopocie. Ale to są tylko te znaczniejsze festiwale, a ileż dzieje się w ich cieniu. Wspominam o tym wszakże nie dlatego, abym w nadmiarze festiwali zła jakowegoś upatrywał. Przeciwnie, jest to zupełnie nieszkodliwa Polaków zabawa, z której od czasu do czasu i pożytek jakiś wynika. A jednocześnie jest to wyraźny sygnał, że lato i sezon letni mamy w pełni.

A skoro sezon w pełni, to tylko o komunikacji można rozważać. Komunikacja bowiem nasza szczyt kolejny przeżywa i do szczytu kolejnego — czyli jesiennego — sposobi się. Jednakże statystycznego Polaka bardziej szczyt letni obchodzi, bo go osobiście dotyczy. O szczycie jesiennym dowiaduje się z prasy, ze sprawozdań, z których wyraźnie wynika, że PKP i PKS do jesieni są przygotowani, że nic już ich nie zaskoczy, a potem okazuje się, że przewoźnika opieszali klienci zaskoczyli, a aura na dodatek dołożyła. Ale statystyczny Polak o szczyt jesienny nie dba, bo wtedy towary się głównie wozi. I błąd popełnia, bo w końcu te towary dla niego się wozi.

Nim jednak jesień nastanie, latem się cieszmy i o letniej komunikacji porozważajmy. Oto nasze ukochane MPK zmiany wprowadziło. Czy dla pasażerów korzystne? Skądże. MPK od dawien dawna kieruje się innym zupełnie interesem. Własnym. I zgodnie z tą dewizą wprowadza takie zmiany w ruchu autobusów i tramwai, które dla MPK są wygodne. Oto na przykład linia nr 80 z placu Barlickiego prowadziła do ulicy Elektronowej czyli w rejon Nowych Sadów, gdzie kilka fabryk ostatnimi laty zlokalizowano. Logicznie rzecz traktując, skoro są tam fabryki, to należałoby domniemywać, że również ludzie w nich pracują, a skoro ludzie tam pracują, to muszą do pracy dojeżdżać. Czym oni do pracy dojeżdżają? Autobusami MPK. A zatem MPK powinno się troszczyć o to, aby jak najwięcej autobusów tam chodziło i na dodatek regularnie. Ale MPK wierne swej zasadzie, że własnym interesem się kieruje, linię nr 80 skróciło i poprowadziło ją do Ronda Titowa, gdzie fabryk raczej żadnych nie ma, a szpital tylko na rogu figuruje. A do Ronda Titowa wiele różnych autobusów kursuje i nawet tramwaje tamtędy jeżdżą, o czym MPK powinno wiedzieć.

MPK nie ma szczęścia, ale i PKP też go nie ma. Od lat wiadomo, że komunikacja kolejowa jest naszą poważną słabością. Nieprzypadkowo wspomniałem o szczycie jesiennym. Komunikacja bowiem decyduje o sprawności funkcjonowania gospodarki. Jest to tak prosta prawda, taka oczywistość, że aż przykro pomyśleć, że przez całe lata jakoś tego nie widziano i dziś zbieramy owoce wielkich zaniedbań w rozwoju PKP.

Jechałem niedawno do Gdańska. Pytam konduktora: — Będziemy na miejscu punktualnie?

— A kto to wie — odpowiada konduktor. — Ten pociąg lubi się spóźniać. Czasem nawet dość dużo. A to dlatego, że zamiast remontu torów czas jazdy przedłużano. Teraz już oficjalnie przedłużać się nie da, więc się pociąg musi spóźniać.

Przynajmniej szczere postawienie sprawy. A w Sejmie jeden z posłów zadał podobne pytanie. Dlaczego wydłuża się czas jazdy pociągów ekspresowych i pośpiesznych? Minister komunikacji wyjaśnił, że nie ma wpływu na sprawy, bo jedne pociągi ekspresowe i pośpieszne kursują w takim samym czasie, inne czas wydłużyły, ale inne skróciły. Wszystko się bilansuje. Tylko pasażer nie wie, kiedy dojedzie na miejsce. Obecnie bowiem różnica pomiędzy pociągiem ekspresowym, pośpiesznym i osobowym jest tylko w cenie biletu. Najczęściej oczywiście, gdyż bywa sytuacja, kiedy pociąg na czas dojedzie do miejsca i należą one do wyjątkowych.

PKP, PKS i MPK modernizują się jednak. Postępuje to wprawdzie powoli, ale postępuje. Musi minąć jeszcze sporo czasu do chwili, kiedy będziemy mogli rozważać spokojnie, bez zdenerwowania o komunikacji. Boję się tylko jednego, że rosną równolegle do postępu komunikacji — i to niewspółmiernie szybciej — wymagania i oczekiwania pasażerów. A to znacznie odsuwa w przyszłość ten moment, kiedy zmaleją kłopoty z komunikacją.

Malkontenci twierdzą, że kiedy nadchodzi pełnia sezonu, to nic się nie dzieje i wtedy pojawia się słynna Nessie oraz latające talerze. Nie byłbym tego taki znów pewny. W pełni sezonu jest też o czym podumać. Nie tylko o obfitości festiwali w naszym ukochanym kraju.

MARCIN RODAK

magazyn

ANDRZEJ CZERNY

ZIELONA GÓRA—OD ŚWITU DO ŚWITU

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

1. Wczoraj i dziś.

Szesnaście lat temu, w małej salce Zarządu Wojewódzkiego TPP-R, spotkało się niewielkie grono entuzjastów i miłośników piosenki na I Ogólnopolskim Konkursie Wykonawców-Amatorów Piosenki Radzieckiej. Było kameralnie i prawie rodzinnie. Po trzech latach był już pierwszy Festiwal.

Dziś, z tego małego ziarenka zapału i autentycznego rozmiłowania w popularnej muzyce radzieckiej, wyrósł wspaniały, potężny amfiteatr, a odbywające się w nim koncerty oglądają tysiące Zielonogórzan i miliony „inter-telewidzów". Przez pięć czerwcowych dni i nocy miasto pulsuje nieustającą feerią festiwalowych barw. Tego wszystkiego, co się dzieje — oficjalnie, półoficjalnie i prawie prywatnie — nie sposób już ogarnąć. Przez sto dwadzieścia pełnych godzin, kolorowymi ulicami przewala się festiwal. Piosenki nowe i dawne, ciągle jeszcze bawiące i wzruszające melodie, brzmią dosłownie od świtu do świtu.

2. Świt.

Pierwsze promienie słońca, przychylnego tegorocznemu XIII Festiwalowi, zaglądają w szyby zielonogórskiej „Palmiarni", gdzie wśród tropikalnej roślinności snują się jeszcze ostatni goście, a przed chwilą przebrzmiały finalne takty recitalowych występów. Tutaj na nocnych koncertach spotykają się dziennikarze, obserwatorzy, zagorzali kibice i wykonawcy. W egzotycznej atmosferze podzwrotnikowego lasu trwa gorąca wymiana zdań, wrażeń i sądów. Przy barku, jak zwykle okupowanym przez spragnionych dyskutantów, ścierają się poglądy. Pogodna atmosfera sprzyja przyjacielskim pogwarkom. Tutaj, zawsze po północy, kiedy opustoszeje amfiteatr, zaczyna się ta druga, mniej oficjalna, a bardziej relaksowa część festiwalu. W pierwszym dniu wystąpiło w „Palmiarni" Studio Piosenki działające pod egidą Łódzkiego Domu Przyjaźni i Stowarzyszeniem Muzyki Estradowej w Łodzi. Niestety, trochę pechowe. Reżyser festiwalu — Włodzimierz Gawroński, w niewątpliwym nawale pracy, stracił kontakt z rzeczywistością i... własnym zegarkiem. Koncert inauguracyjny przedłużył się mniej więcej o dwie godziny, to znaczy, że w całości trwał cztery i pół godziny. Nawet najwytrzymalsi kapitulowali, wymykając się chyłkiem. W tej sytuacji najokrutniejszej torturze poddane zostało jury, pracujące pod przewodnictwem prof. Aleksandra Bardiniego, wykonawcy — amatorzy zmęczeni dzienną próbą i kilkugodzinnym wyczekiwaniem na swe wejście (a przecież to ich pierwszy koncert kwalifikacyjny i oni powinni być tu najważniejsi), no i wreszcie uczestnicy wyżej wspomnianego Studia Piosenki z Łodzi, oczekujący pod palmami ponad dwie godziny na to, aby móc zainaugurować nocne koncerty w „Palmiarni". Nic można się dziwić, że po tym dniu (a właściwie nocy) atmosfera lekko opadła i dopiero od drugiego koncertu kwalifikacyjnego, który skończył się już przed północą, życie festiwalowe nabrało właściwych rumieńców. I znowu świt zajrzał do „Palmiarni", gdy kończył się recital Renaty Ibragimowa z Kazania i Bogdany Zagórskiej. Trzecia noc, wśród podzwrotnikowej roślinności, należała do Lwa Leszczenki i Krzysztofa Krawczyka. Radziecki mistrz romansu i nasz rodzimy idol, podbili publiczność bez reszty, a szklana budowla drżała od nadmiaru decybeli.

Tej samej nocy, w podziemiach miejscowego PAP, odbywał się tradycyjny bo już piąty — jubileuszowy, konkurencyjny Festiwal Dziennikarzy Pracujących. Impreza oficjalnie nie notowana, lecz świadcząca doskonale o zielonogórskiej atmosferze. Ten pełen dowcipu „antyfestiwal", wyłonił również swoich laureatów, a pierwsze miejsce, przy ogólnym aplauzie, wywalczyły Siostry Ańskie, reprezentujące miejscowe środowisko dziennikarskie. O świcie znów przemierzały miasto rozbawione grupy, aby...

3. ...w pełnym słońcu południa spotkać się na rozgrzanej patelni amfiteatru, w roboczym kieracie prób i nie kończących się organizacyjnych ustaleń. Spoceni muzycy z orkiestry Teatru na Targówku i zielonogórscy filharmonicy, pod jedną batutą Czesława Majewskiego, przeszli przez kilkudniowe piekło nie do pozazdroszczenia. Z nieba leje się żar, bolą oczy, ręce opadają ze znużenia. Wszystko musi być doskonale zgrane, mieć tempo i mieścić się w czasie, o czym już teraz, po doświadczeniach koncertu inauguracyjnego, doskonale pamięta reżyser. Dlatego to on właśnie najobficiej „ociekа" potem będąc jednocześnie wszędzie w centrum czerwcowego skwaru. Najwięcej kłopotu nastręczają często rzeczy drugoplanowe, jak na przykład „ustawienie" wejść i zejść zespołu „Arabeska" (czterdzieści dobranych panienek ze Słupska, którym fotoreporterzy akredytowani przy Festiwalu przyznali tradycyjne wyróżnienie — „Miss obiektywu") stanowiącego barwne tło we wszystkich koncertach. Tutaj również trzeba „zafiksować" wszystkie ustalenia z pozostałymi realizatorami koncertów, wśród których bardzo ważną funkcję pełnią oświetleniowcy — Stanisław Białek i Jerzy Mrzygłocki. Im to zawdzięczaliśmy wspaniałe, barwne efekty, ożywiające bardzo pomysłową i funkcjonalną, w trzech wersjach, scenografię projektu Marka Grabowskiego. Tu też, do „siódmych potów", napracowali się żołnierze obsługujący ruchome części dekoracji. Wszystko to w skwarze południa, w pełnym słońcu, aby o zmierzchu wszystko było „zapięte na ostatni guzik".

4. Od zmierzchu do nocy.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, w stronę amfiteatru płyną nie kończące się strumienie widzów. Na wielkim placu, wśród parkowej zieleni, tłoczno jak na jarmarku. Kioski z napojami, słodyczami i „wałówką" (na wszelki wypadek lepiej być przygotowanym na „najdłuższe"), a obok reprodukcje, pamiątki, wydawnictwa muzyczne, płyty i pocztówki dźwiękowe „Tonpressu". A propos „Tonpress", powszechną radość wzbudził komunikat konferansjerów na pierwszym koncercie, informujący, że ta prężna firma przygotowała właśnie, już do nabycia, pocztówki z piosenkami w wykonaniu laureatów... ubiegłorocznego Festiwalu. Jest to niewątpliwy sukces w porównaniu z „Polskimi Nagraniami".

Z wielkimi nadziejami oczekiwano zapowiadającego się rewelacyjnie koncertu „Premiery 77", będącego nowością w festiwalowym programie. Wielkie nazwiska polskiej estrady w zestawieniu z pokłosiem ogłoszonego przez Zarząd Główny TPP-R oraz ZAKR konkursu na piosenkę. Oczekiwania nie zawiodły — „gwiazdy" przybyły, niestety, z nie najlepiej opanowanym tekstem. Nie można mieć pretensji do „gwiazd", bo czego można wymagać, jeśli piosenka zostaje „dostarczona" na tydzień przed Festiwalem? Do tego należy dodać, nie najsprawniej pracujących akustyków.

Andrzej Rosiewicz z Asocjacją „Hagaw" i Jackiem Nieżychowskim w sposób brawurowy zainscenizowali „Aniutę znad Newy". Był to cały mini-kabaret z udziałem samego szefa od muzyki tzn. Czesława Majewskiego. Tego nie da się opisać, a Nieżychowski w roli drzemiącego Siemiona bawił do łez. W morzu powagi, smutku i „sierioznosti", tego rodzaju akcenty wprowadzają niezbędny element relaksu i odprężenia.

Oczywiście, numerem jeden Festiwalu był Bernard Ładysz, który obok udziału w koncertach zasiadał w jury, a w jego wykonaniu kantata pt. „Oto pożar, który dom oczyszcza", „wzmocniona" historycznymi zdjęciami „Aurory" i niebywałej urody efektami pirotechnicznymi, była najmocniejszym elementem koncertu inauguracyjnego. Jeśli dla dopełnienia obrazu dodamy jaskrawosine „sztylety" wojskowych reflektorów, wbite w granat nieba, otrzymamy niezatarty w pamięci obraz. Niepostrzeżenie zmierzch przeradzał się w gorącą noc festiwalową. I znów tropikalna wilgoć „Palmiarni", do ostatniego świtu. Przed tym jednak, najważniejsze —

5. — Laureaci.

Oni byli przecież fundamentem tej wielkiej imprezy. To ich pierwszy FESTIWAL. Dla niektórych, być może, nie ostatni. Czwartego dnia, w trakcie bardzo zręcznie zmontowanego koncertu laureatów (popis reżysera Gawrońskiego), w którym wystąpili wszyscy piosenkarze-amatorzy, biorący udział w konkursie, we fragmentach swych piosenek, co uważam za posunięcie bardzo słuszne, prof. A. Bardini, w imieniu jury rozdzielił złote, srebrne i brązowe samowary. Złoty Samowar, przy pełnej aprobacie publiczności, przypadł w udziale młodziutkiej reprezentantce Lublina — **Urszuli Kasprzak**, która piosenką pt. „Kopciuszek" wykonaną z bezpretensjonalnym wdziękiem, podbiła zielonogórski amfiteatr. Poza tym jury przyznało jeszcze dwa srebrne i pięć brązowych samowarów. Co prawda reprezentantka Łodzi, uczennica XXVI LO — **Mariola Wesołowska**, nie stanęła na „podium", to jednak nie odebrało jej zapału, i w rozmowie po koncercie laureatów, zwierzyła się, że dalej będzie „walczyć", tym razem w duecie, ze swą siostrą Elżbietą, bowiem regulamin konkursu zabrania uczestnikom zielonogórskiego finału ponownego w nim startu. Występ w festiwalowym amfiteatrze, w jego odświętnej atmosferze, jest już dla amatora formą nagrody.

Poniedziałkowy świt trzynastego czerwca starł z miasta festiwalowe rumieńce. Goście rozjechali się do swych codziennych zajęć. Na miejscu pozostał dyrektor Roman Sochaczewski ze swym sztabem i myślami już przy XIV Festiwalu.

★ METRO 77 ★

Fot. Archiwum

Grupa **„Metro 77"** powstała w Warszawie w kwietniu 1977 r.

Wykonuje muzykę w stylu pop. rock. Założycielem i kierownikiem muzycznym jest **Mirosław Kusiakowski**, grający poprzednio w zespołach „Dyliżans" i „Happy End".

Wokalistką jest **Elżbieta Linkowska** — poprzednio śpiewała w grupach wokalnych „Amazonki" i „Pro-Contra", a ostatnio w zespole „Happy End". Pierwszy program, którego premiera odbyła się 5.06.77 r. w Łodzi zatytułowany jest „Świat, cały świat".

Grupa „Metro" nawiązała współpracę ze **Stowarzyszeniem Muzyki Estradowej w Łodzi.**

Skład zespołu stanowią:

MIROSŁAW KUSIAKOWSKI — gitara basowa, śpiew, kierownik muzyczny.
ELŻBIETA LINKOWSKA — śpiew, instrumenty klawiszowe.
JERZY KOWALSKI — gitara 12-strunowa, śpiew.
IRENEUSZ TRACZYK — gitara, instrumenty klawiszowe.
SŁAWOMIR CHUDZYŃSKI — perkusja.

MIROSŁAW KUSIAKOWSKI — wywodzi się z warszawskiego środowiska muzycznego. W latach 1973—74 grał w zespole **„Dyliżans"**. Od 1975 r. w grupie **„Happy End"**, z którą nagrał wiele piosenek dla radia, brał udział w programach telewizyjnych oraz koncertował w ZSRR i NRD. Po odejściu z zespołu **„Happy End"** założył grupę „Metro 77", której jest kierownikiem muzycznym. Komponuje też większość piosenek dla zespołu. Gra na gitarze basowej i śpiewa.

ELŻBIETA LINKOWSKA — działalność artystyczna rozpoczęła w 1970 r. w zespole **„Respekt"**. Następnie w trio wokalnym — z Krystyną Prońko i Zofią Borcą współpracowała z Cz. Niemenem oraz ze **„Skaldami"**. Z zespołem **„Amazonki"** występowała w 1974 r. w Związku Radzieckim, biorąc udział w dużym, międzynarodowym programie estradowym p.t. „Do Was uśmiechają się Gwiazdy". W 1974 r. pracowała w grupie **„Pro-Contra"**. Od 1975 r. śpiewała w grupie **„Happy End"**. Wraz z zespołami, w których występowała dokonała wielu nagrań radiowych, ma za sobą kilka programów telewizyjnych. Wielokrotnie wyjeżdżała na koncerty do Związku Radzieckiego, Bułgarii, Czechosłowacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W grupie „Metro 77" gra i śpiewa.

JERZY KOWALSKI — współpracował z wrocławską grupą **„Projekt"**, koncertując w Polsce i w NRD. W zespole **„Metro 77"** śpiewa i gra na gitarze 12-strunowej.

IRENEUSZ TRACZYK— gitara i instrumenty klawiszowe oraz **SŁAWOMIR CHUDZYŃSKI** — perkusja — to młodzi muzycy rozpoczynający w grupie „Metro 77" zawodową działalność.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Od Wełtawy do Orawy

(HUMOR CZECHOSŁOWACKI)

WLADIMIR KUBELKA

CAŁE SZCZĘŚCIE!

Przed szynkwasem, przy trzecim stoliku siedziało kilku stałych gości zabawiając się rozmową na poziomie. Kiedy już przedyskutowano wszystkie wiadomości — od Himalajów po najbliższy Sam spożywczy — pan Zdybiczek zmienił nagle temat:

— Wyczytałem dzisiaj w gazecie, że pewna młoda matka posłała dziecko do szkoły a następnie uciekła z kochankiem.

— A co z dzieckiem? — zapytał pan Oulehlik.

— Co z dzieckiem? Wróciło ze szkoły do domu, a matki nie ma!

— Świat się rozwija, idzie naprzód — wtrącił pan Barbuda — a człowiek pozostał taki, jakim był. Już nie dosyć, że ojcowie uciekają od dzieci, to teraz matki zaczynają wiać?

— Ja bym taką matkę wpakował do kozy — wtrącił niemiłosierny pan Oulehlik.

— Ale co zrobić z dzieckiem? — indagował pan Zdybiczek.

— Co począć z dzieckiem? Oddać do państwowego domu wychowawczego!

— Ładnie byście dziecku pomogli — wtrącił pan Strniszte. — Dziecku jest przede wszystkim potrzebne serce i matka.

— Takie tam dzisiejsze matki, na kopy sprzedają! A więc komu oddać dziecko? No, chyba, że brzdąc ma jeszcze... dziadka albo babkę!

— Jezus, Maria! — wrzasnął nagle pan Czasik. — Całe szczęście, żeście mi przypomnieli! Córka z zięciem od rana polecieli na dyskotekę, a ja miałem dziecka pilnować. Karliku, płacić za piwo!

* * *

— Patrz, mężusiu, nasz Jeniczek zaczyna chodzić!

— To je ale fajno! Zaraz go poślemy po piwo!

* * *

Pierwszoklasista płacze:

— Uhuuu Bohumil powiedział, że ze szkoły nas wypuszczą dopiero po dziesięciu latach.

Nauczyciel:

— A co ja mam powiedzieć. Ja muszę tu siedzieć do sześćdziesiątki!

* * *

— Bardzo bym chciał, panie profesorze, uczyć naszą Milenkę muzyki. Ona ma wspaniały absolutny słuch.

— Absolutny słuch? A jak to się u niej objawia?

— Ona słyszy wszystko, o czym gadają w całym bloku, od parteru po jedenaste piętro.

* * *

— Mąż mi kupił pianino. Chciałabym ustawić na nim popiersie jakiegoś wielkiego muzyka. Kogo mi pan radzi, Mozarta czy Beethovena?

— Beethovena! Był kompletnie głuchy.

* * *

W autobusie starsza pasażerka chwieje się na wszystkie strony, trzymając się z wysiłkiem uchwytu. Jakiś młody człowiek wstaje, aby ustąpić jej miejsca.

— Siedź, synku, siedź! Jeszcze się nastoisz, jak się zestarzejesz!

* * *

Do magazynu „Optyki" wszedł starszy pan.

— Dzień dobry panu — wita go sprzedawca. — Panu potrzebne są okulary minus 9 dioptrii.

— A skąd pan wie, że właśnie takie szkła noszę?

— Bo zauważyłem, że nie wszedł pan przez drzwi tylko przez okno.

* * *

Dyrektor pyta nowego robotnika:

— Ile lat pracy ma pan za sobą?

— Okrągłe trzydzieści.

— Co? Przecież sam pan wygląda na jakieś trzydzieści pięć?

— Tak jest! Ukończyłem właśnie trzydzieści pięć. Ale pracowało się często na dwie zmiany, a już prawie stale w nadgodzinach. Zebrało się.

* * *

— Moja żona, panowie, to ideał. Jak tylko wracam do domu zaraz pomaga mi zdjąć palto, podaje domowe pantofle i rękawiczki.

— Po co ci rękawiczki w domu, chłopie?

— Jak to po co? W gumowych rękawiczkach nie niszczą się ręce przy zmywaniu naczyń.

* * *

— Co to? Dziesięć byków w jednym krótkim liście? Trochę za dużo, panno Nelly!

— Przepraszam — usprawiedliwia się sekretarka — ale koń ma cztery nogi i też się potknie.

— Słusznie, ale koń nie bierze pensji...

* * *

Rozmowa między członkami amatorskiej orkiestry filharmonicznej:

— Co za numer teraz gramy, panie kolego? — pyta flecista swego sąsiada.

— Uwerturę do Wilhelma Tella.

— A niech to szlag trafi! Uwerturę do Tella grałem w poprzednim numerze!

* * *

— Powodzi mi się doskonale mówi były uczeń na zjeździe wychowanków gimnazjum. — mam domek pod miastem i ośmioro dzieci.

— Tak tak — powiada stary nauczyciel. — Pilny to byłeś zawsze, ale bardzo nieostrożny.

* * *

— Przyznaję, panie sędzio, że wpakowałem kawał darniny do rury wydechowej samochodu pana Zdenka, mojego najlepszego sąsiada. Ale uczyniłem to wyłącznie w interesie ochrony ludzkiego środowiska.

* * *

Mówi jętka — efemeryda do swojej córki:

— Będziesz miała, niebożątko, strasznie krótki żywot — nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny i ani minuty dłużej. Ale w porównaniu z baterią do tranzystorowego radia jest to jednak porządny kawał czasu!

Wybrał i przełożył z czeskiego i słowackiego H. RUD.

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

LIMERYKI SWOJSKIE

A CHWACKI MŁODZIAN

A chwacki młodzian z Kalisza,
który miłością aż dyszał
do jednej panny wysokiej,
piersiastej i modrookiej,
kiedy posłyszał jej słowa,
że wreszcie zostać gotowa
mu żoną...
Ochłonął.
Nikt o nim więcej nie słyszał.

JEDZIE PANI

Jedzie pani z Malborka
do Poznania przez Koło...
Nagle drgnęła i zbladła,
z autobusu wysiadła
i krzyknęła. — Niech kolka!
Po co robić mam koło?
Jest w Malborku bar Bolka
gdzie sprzedają marlboro.

PEWIEN FACET

Pewien facet z Łodzi
wciąż na fali chodził...
Organ powonienia
miał jak maki w zbożu;
raz z tragicznym gestem
spytał mnie: — Gdzie jestem?
Wiem, że jestem w Łodzi
lecz na jakim morzu!?

KIEDY MINĘŁY

Kiedy minęły już chłody
i skwarne przygrzało słońce
z zepsutej pompy w Zielonce
pragnąłem napić się wody
lecz pośpiech spłatał mi figla,
spłoszyłem małego ptaszka...
Tyci był taki jak fraszka,
rzekłbyś kalibru kolibra.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652 44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1416 W-11.